



Stanisław Zalewski urodzony 1 X 1925 roku w Suchej Woli (w pobliżu obecnych Studzianek Pancernych). Od 1930 roku mieszka w Warszawie. W 1940 roku rozpoczął pracę w warsztacie samochodowym, który po utworzeniu warszawskiego getta znalazł się na jego terenie. Aresztowany przez niemieckie władze okupacyjne 13 IX 1943 roku za działalność w ruchu oporu, był więziony w niemieckich hitlerowskich miejscach kaźni: w siedzibie Gestapo przy al. Szucha w Warszawie, w więzieniu Pawiak w Warszawie, w niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych: Auschwitz-Birkenau (nr 156569), Mauthausen (nr 4491), Gusen I i Gusen II (nr 45332). Odzyskał wolność 5 maja 1945 roku, po wyzwoleniu obozu Gusen II przez armię amerykańską. Do Polski powrócił w lipcu 1945 r. Wojna zabrała mu Matkę i najstarszego brata. Po wojnie, pracując, kontynuował przerwana naukę, założył rodzinę. W 1959 roku, po studiach w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej w Warszawie otrzymał dyplom inżyniera ze specjalnością pojazdów samochodowych. W 1969 roku uzyskał uprawnienia rzeczoznawcy techniki samochodowej. Pracował zawodowo na odpowiedzialnych stanowiskach do 2000 roku. Działa społecznie w Stowarzyszeniu Rzeczoznawców Samochodowych „EKSPERTMOT” i w Polskim Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, gdzie od 2008 roku pełni funkcję Prezesa Zarządu Głównego. Wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi. Wpisany do leksykonu *Who is Who w Polsce* – PL12086320.

WYDARZENIA I ZNAKI CZASU Z LAT 1939–1945

STANISŁAW ZALEWSKI



WYDARZENIA I ZNAKI CZASU Z LAT 1939–1945 STANISŁAW ZALEWSKI

25 LAT MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI

Mazowsze.
serce Polski

50 LAT
MUZEUM
WIĘZIENIA
PAWIAK

ISBN 978-83-62235-94-0



9 788362 235940



WYDARZENIA I ZNAKI CZASU Z LAT 1939–1945



*Żyjemy tak długo
jak długo żyją Ci,
co o Nas pamiętają*

STANISŁAW ZALEWSKI

**WYDARZENIA I ZNAKI CZASU
Z LAT 1939–1945**

Wstęp i redakcja
Tadeusz Skoczek

Warszawa 2016

Publikację opiniowały do druku

Joanna Gierczyńska – kierownik Muzeum Więzienia Pawiak

dr Jolanta Załęczny – kierownik Działu Historii i Badań Naukowych
Muzeum Niepodległości w Warszawie

Projekt okładki

Mateusz Ryszkowski

Fotografia na okładce

Tadeusz Stani

ISBN 978-83-62235-94-0

ŚWIADECTWO

Stanisław Zalewski. Jego postać znana jest uczestnikom wielu imprez patriotycznych organizowanych na terenie Muzeum Więzienia Pawiak, w Mauzoleum Walki i Męczeństwa w alei Szucha, w Muzeum Niepodległości. Aktywny, uśmiechnięty, optymistycznie nastawiony do świata – sprawia wrażenie zadowolonego z życia. Żywiołowość, żartobliwy styl wypowiedzi, szarmancki sposób, w jaki zwraca się do kobiet, skłonność do żartów kontrastuje wyraźnie z bagażem doświadczeń, jaki dźwiga. Przeżycia gehenny niemieckiej okupacji, nieludzkie warunki traktowania w śledztwie, wspomnienia z hitlerowskich obozów koncentracyjnych, na pierwszy rzut oka nieobecne w jego życiu, pozostały w pamięci niezatarty ślad. Relacjonowanie tamtych wydarzeń, opis przeżyć, konieczność ciągłego dawania świadectwa stanowi treść życia pana Stanisława.

Urodzony 1 października 1925 roku (wieś Sucha Wola, nieopodal dzisiejszych Studzianek Pancernych) do czternastego roku życia, jak wielu jego rówieśników, żył w atmosferze spokoju rodzinnego domu. Od 1930 jest warszawianinem, mieszka na Pradze. 1 września 1939 roku zburzony został spokój wielu polskich rodzin, wielu polskich dzieci. Z dużą szczerością pisze o tym Stanisław Zalewski w swoich wspomnieniach. Nie stroni od osobistych spostrzeżeń i wielu „zwykłych” szczegółów. Już jednak, powszechny w tamtych dniach obraz ucieczki przed Niemcami, próba oddalenia zagrożenia poprzez przemieszczanie się ludności na wschód,

odziera te wspomnienia z romantyzmu. Odtąd brutalna rzeczywistość obecna będzie w tych relacjach do ostatniej karty. Zatrudniony w warsztacie samochodowym szybko zderza się z tą okupacyjną rzeczywistością. 2 października 1940 roku Niemcy tworzą warszawskie getto. Warsztat znajduje się na wydzielonym terenie, od 16 listopada systematycznie izolowanym od reszty miasta, otaczanym murem. W kwietniu 1941 roku w tym wydzielonym „mieście żydowskim” przebywało aż 450 tysięcy mieszkańców.

Aresztowanie nastąpiło 13 września 1943 roku. Katownia Gestapo przy alei Szucha, Pawiak, a potem obozy Auschwitz-Birkenau, Mauthausen i Gusen to następne wydarzenia, które wywarły piętno na całym dalszym życiu pana Stanisława. Wyzwolenie nadeszło 5 maja 1945 wraz z armią USA. Kiedy dwa miesiące później wraca do Ojczyzny dowiaduje się, że wojna zabrała mu matkę i brata. Praca i nauka stanowią treść dalszego życia w odbudowującej się Warszawie. Pracuje, jako inżynier, specjalista „od samochodów” do 2000 roku.

Wrodzone cechy charakteru nie pozwalają mu na odpoczynek. Nadal działa społecznie w stowarzyszeniach szerzących wiedzę o przemyśle samochodowym, edukuje i ocenia (jako rzeczoznawca). Treścią jego życia staje się Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Od 2008 roku pełni funkcję Prezesa Zarządu Głównego. Związek działający nieprzerwanie od 1946 roku stoi na straży pamięci o więzionych i pomordowanych w niemieckich obozach, organizuje wiele imprez patriotycznych, przypominających obłęd totalitaryzmu niemieckiego, utrwała świadectwo hitlerowskiego ludobójstwa.

Związek liczący obecnie ponad 4 tys. członków jest jedną z najwięk-

szych organizacji kombatanckich w Polsce. Obejmuje swoim zasięgiem obszar całego kraju, ma 15 oddziałów okręgowych, 9 samodzielnych kół rejonowych i 13 samodzielnych kół środowiskowych. Członkowie organizują spotkania edukacyjne z młodzieżą, uroczystości okolicznościowe, otaczają opieką miejsca pamięci, działają na rzecz rozwiązywania problemów środowiska ofiar nazizmu. Organizacja prowadzi aktywną działalność na rzecz upamiętniania walki o niepodległość i martyrologii narodu polskiego w latach 1939–1945, zachowania pamięci o ofiarach niemieckiego nazizmu.

Prezes Stanisław Zalewski inspirował do działania wiele środowisk, jest stałym uczestnikiem wydarzeń przygotowywanych w Muzeum Więzienia Pawiak.

„Każda taka uroczystość – mawia – jest darem, symbolem, wreszcie uhonorowaniem tych, którzy żyją nadal i działają z myślą o naszych potomnych. Patriotyczne uroczystości na Pawiaku są dla nas wyrazem uznania, jako ostatnich świadków historii, których jest coraz mniej”.

W 2014 roku obchodziliśmy wspólnie 70. rocznicę likwidacji więzienia na Pawiaku. Podczas kolejnej rocznicy, 30 lipca 2015 roku, organizowanej w Muzeum Niepodległości (również z okazji 50-lecia założenia Muzeum Więzienia Pawiak), Stanisław Zalewski został wyróżniony przez Marszałka Województwa Mazowieckiego medalem „Pro Masovia”. Corocznie odbywają się uroczystości w miejscach pamięci w Magdalence, Palmirach, na Cmentarzu Powązkowskim. Więźniowie i ich rodziny uczestniczą w uroczystościach religijnych i patriotycznych w miejscach rozstrzeliwania.

Pan Stanisław Zalewski od wielu lat współpracuje z Muzeum

Niepodległości. Jego aktywność jest wciąż niespożyta. Chociaż skończył 90 lat życia wciąż tryska energią, humorem i optymizmem. Mimo tylu przeżyć okupacyjnych. Wiele lat daje świadectwo, które jest i powinno być *memento*. Powinno być ostrzeżeniem. Píše o tym szczegółowo na kartach swoich wspomnień.

Warto dodać uwagę edytorską. Wspomnienia Stanisława Zalewskiego znane są w pierwotnych wersjach z portali internetowych. Autor wydał też je, własnym sumptem, kilka lat temu, opatrując dopiskiem: „na prawach rękopisu”. Uznajemy, że niniejsze wydanie jest więc drugim. W przygotowaniu edycja książki w tłumaczeniu na język niemiecki.

Tadeusz Skoczek

Dla Rodziny, Przyjaciół i Potomnych

PROLOG



*Żyjemy tak długo,
jak długo żyją Ci,
co o Nas pamiętają*

(Hasło wypisane na sztandarze Stowarzyszenia Byłych Więźniów Obozu Koncentracyjnego Mauthausen-Gusen)

Żeby tak się stało, musi być „coś”, co pozwoli Potomnym na kulturowanie pamięci.

Moim pierwotnym zamysłem było, aby stały się tym fotografie znajdujące się w albumie, który powstał w czasie swoistej pielgrzymki ojca i syna do Miejsca Pamięci Mauthausen w roku 1998.

Fotografie te pokazują tylko to, co materialnego pozostało jeszcze z tamtego okresu, w którym „człowiek zgotował taki los człowiekowi”.

Pozostały jeszcze pamiątki innej natury, których nie można niestety utrwalić na fotografiach.

W pierwszym wydaniu, z inspiracji mojego syna Huberta, dopisałem jako uzupełnienie i swoisty komentarz do tych fotografii niektóre własne przeżycia z pamiętnych lat II wojny światowej. Było to coś w rodzaju streszczenia mojej biografii obejmującej to, co ważnego działo się ze mną i wokół mnie od września 1939 do lipca 1945 roku.

Upływające życie weryfikuje nasze postrzeganie rzeczywistości oraz spojrzenie i osądy tego, co minęło i tego, co jeszcze zostało w naszej pamięci. Współczesne spojrzenie na świat nie może być pretekstem do zmiany prawdy historycznej – bo prawda historyczna to historia faktu.

To było uwzględnione przy redagowaniu drugiego wydania.

Czytając książki o niemieckich nazistowskich miejscach kaźni, zagłady i przymusowego odosobnienia ludzi oraz słuchając wypowiedzi świadków tamtych dni, stwierdzam, że nie wszystkie relacje i opisy w pełni i wiarygodnie odzwierciedlają to, co naprawdę działo się w niemieckich nazistowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Jest ludzką cechą, że świadkowie tych wydarzeń, w miarę upływu czasu i zachodzących zmian w każdej dziedzinie naszego życia, różnie relacjonują i interpretują ich przebieg.

Pewien wpływ miały na to celowo podejmowane działania oraz naleciałości proustrojowe, szczególnie w publikacjach, które ukazały się przed 1989 rokiem.

Tak było tysiące lat temu i tak jest obecnie.

Jako dowód polecam Biblię Tysiąclecia, a w niej dokonane przez Ewangelistów opisy życia Jezusa – każdy z nich inaczej relacjonuje Jego Zmartwychwstanie.

Prawdopodobnie i ja nie ustrzegę się podobnych nieścisłości, biorąc pod uwagę moje subiektywne i chyba też emocjonalne podejście do ówczesnych wydarzeń, wprawdzie bardzo dalekich, ale jeszcze częściowo dość żywych w mojej pamięci. Stąd dla zredukowania do minimum osobistych interpretacji i naświetlania własną lampą błyskową tamtych wydarzeń, zapoznałem się z publikacjami o charakterze dokumentacyjnym oraz

odwiedziłem wszystkie miejsca mojego uwięzienia w latach 1943–1945.

Pokoleniom powojennym nie jest łatwo pojąć i zrozumieć to, co się działo naprawdę i jaki był mechanizm zagłady ludzi w niemieckich nazistowskich miejscach kaźni.

W celu wiarygodnego opisanie miejsc, do których i ja się dostałem, musiałbym popełnić plagiat opisując ponownie to, co zostało już opisane przez innych. Stąd, aby tego nie czynić, moje relacje będą dotyczyły tylko tych wydarzeń, które w sposób pośredni lub bezpośredni odnosiły się do mojej osoby.

Skrywam nadzieję, że zachęcę tym czytających do lektury publikacji o wspomnianej tematyce, tj. o niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych i zagłady. Osoby znające mnie bliżej, po przeczytaniu całości dostrzegą, że przeżycia wojenne i obozowe nie pozostały bez wpływu na moją osobowość. Liczę na Ich wyrozumiałość i zrozumienie.

Na stronie tytułowej użyłem sformułowania „Znaki Czasu” – tylko w ten sposób mogę uzasadnić pewne wydarzenia dotyczące mojej osoby, z których wychodziłem zupełnie lub względnie cało.

CZAS WOJNY I OKUPACJI

II

1. WPROWADZENIE

Urodziłem się 1 października 1925 roku, w dniu wybuchu wojny, 1 września 1939 roku miałem prawie 14 lat. We wrześniu 1943 roku, to jest w czwartym roku II wojny światowej, a jednocześnie i okupacji Polski przez III Rzeszę, miałem już 18 lat.

Te cztery lata dojrzewania obfitowały w znamienne wydarzenia. Byłem świadkiem okrutnego terroru okupanta oraz prawdziwego bohaterstwa i poświęcenia dla Polski. To zaważyło lub miało pośredni wpływ na dalsze koleje mojego życia. Bardziej obszerne ich przedstawienie to materiał na pokaźną opowieść. Stąd opisuję tylko niektóre fragmenty moich przeżyć i doznań – te, które o czymś mówią.

2. WOJNA

Warszawa, 1 września 1939 roku. Ranek był pogodny. Nagle na niebie pojawiły się samoloty, do których zaczęła strzelać artyleria przeciwlotnicza.

Ludzie mówili – to chyba ćwiczenia.

Huk spadających bomb i ryk syren alarmowych rozwiał złudzenie.

To była wojna, którą czuło się już w sierpniu tego roku.

Na skwerach kopane były rowy przeciwlotnicze dla ludności.

Odbываły się ćwiczenia cywilnych grup w ramach tzw. OPL (Obrony Przeciwlotniczej). Takie grupy były utworzone w każdym większym budynku.

Uczono, jak należy się zachowywać w czasie nalotów, w tym również używania masek przeciwgazowych i unieszkodliwiania bomb, a właściwie bombek zapalających. Ówczesne bomby zapalające miały wymiary obecnych dwóch dużych puszek piwa. Po zrzuconiu i uderzeniu o ziemię paliły się jaskrawym płomieniem. Wystarczyło kilka łopat piasku do ich ugaszenia.

Były też instruktaże o pierwszej pomocy medycznej i sposobach bezpiecznego przechowywania żywności przez dłuższy czas.

Ja zostałem wyznaczony na gońca z zadaniem przenoszenia meldunków i zadań do grup OPL w czasie ich działań obronnych.

Na posesji przy ulicy Olszowej 6 na Pradze, gdzie mieszkaliśmy, ustawiono gniazda karabinów maszynowych dostosowanych do zwalczania samolotów. Jedno takie stanowisko było również na dachu sąsiedniego budynku PKU (ówczesny odpowiednik RKU – Rejonowej Komendy Uzupełnień). Bateria dział przeciwlotniczych, tzw. zenitówek, stała na brzegu Wisły przy wejściu do Portu Praskiego.

W Warszawie poczynawszy od 1 września 1939 roku prawie codziennie słyszało się syreny alarmów przeciwlotniczych, ale życie musiało toczyć się dalej.

3. UFO?

Było to 3 września 1939 roku. Tuż przed zachodem słońca stałem na placu porośniętym trawą, przy zbiegu ulic Panińskiej i Szerokiej, przysłuchując się rozmowie gromadki dorosłych, którzy komentowali ostatnie wydarzenia i komunikaty wojenne, a szczególnie i bardzo

optymistycznie fakt wypowiedzenia wojny Niemcom przez, związane sojuszem z Polską, Anglię i Francję.

Było bardzo ciepło, tego dnia pływałem jeszcze z chłopakami w Wiśle.

Nagle, bardzo wysoko, na zachodniej części nieba dały się zauważyć małe, powoli przemieszczające się obiekty. Jeden z nich miał kształt cygara, pozostałe wyglądały jak krążki. W poświacie promieni zachodzącego słońca miały srebrzystoszary kolor. Były widoczne dość długo. Dorośli orzekli wtedy, że są to urwane z uwięzi balony zaporowe służące do obrony przed nalotami samolotów.

Nie komentuję tego zjawiska, gdyż już po wojnie było ono i jest nadal tematem różnych publikacji, nawet naukowych. Piszę o tym, gdyż dziwnie wyraźnie utkwіło ono w mojej pamięci. Zawsze mogę sobie bez trudu odtworzyć i opisać to „coś”, co pojawiło się wtedy na niebie.

Sześć lat później siedziałem z kolegami na zielonej murawie tego samego placyku. Była to tylko lekko zakrapiana koleżeńska uroczystość, związana z moim szczęśliwym powrotem do Polski i rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego. W pewnym momencie uleciała moja świadomość i nic nie pamiętam. Gdy wróciłem na jawę koledzy powiedzieli mi, że tak smacznie spałem z uśmiechem na twarzy, że nie mieli sumienia mnie budzić.

Niestety, nie pamiętam, co to był za sen.

4. PIERWSZE „ZNAKI CZASU”

Od najmłodszych lat panicznie bałem się burzy. Pierwsze jej zwiastuny w postaci grzmotów lub błyskawic powodowały, że biegłem do domu i chowałem się w odległym kącie, przykrywając się kocem lub pierzyną.

Tak było aż do czasu pierwszych niemieckich nalotów bombowych na Warszawę we wrześniu 1939 roku. Huk eksplodujących bomb był wiele razy potężniejszy niż odgłosy burzy i spowodował, że przestałem bać się burzy i, o dziwo, również nalotów lotniczych.

Sprawdziło się porzekadło, że strach przezwycięża się strachem.

6 lub 7 września 1939 roku zaatakowały Warszawę eskadry niemieckich nurkujących samolotów bombowych, popularnie zwanych sztukasami. Samoloty te przy nurkowaniu przeraźliwie jazgotały, co w połączeniu z hukiem eksplodujących bomb czyniło piekło na ziemi.

Widziałem je bardzo wyraźnie. Celem ich ataku były mosty na Wiśle, a nasz dom znajdował się niedaleko mostu Kierbedzia (obecnie Śląsko-Dąbrowski). To nie odwaga, lecz choroba zmusiła mnie do siedzenia w rowie przeciwlotniczym, skąd był widok na Wisłę. Ta choroba to czerwonka, która kilka dni wcześniej gwałtownie się ujawniła i to do tego stopnia, że ledwo mogłem chodzić.

Mimo tego nalotu mosty stały nadal, a ogromne leje po wybuchach bomb widoczne były jeszcze bardzo długo.

Po tym nalocie Rodzina postanowiła opuścić Warszawę. Wyjechaliśmy pośpiesznie samochodem ciężarowym wraz z innymi osobami towarzyszącymi właścicielowi tego pojazdu.

Jechaliśmy na wschód.

W Otwocku zrobiliśmy przymusowy postój w celu uzupełnienia paliwa, ale było to już niemożliwe. Prowadzący samochód kupił skrzynkę spirytusu rektyfikowanego i dołał do benzyny. Samochód mógł jechać dalej.

W latach sześćdziesiątych w Polsce były prowadzone badania nad zastosowaniem do silników samochodowych mieszanki paliwowej BAB, tj. benzyna–alkohol–benzyna.

Drogi były zatłoczone cywilami, wojskiem i różnymi pojazdami.

Za miejscowością Kałuszyn samochód wpadł do rowu i dalsza jazda była już niemożliwa. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało. Dalej szliśmy na piechotę. Mnie ojciec niósł na plecach – nie mogłem już chodzić.

Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się w niedużym lesie na odpoczynek. Rodzina poszła na zwiady do pobliskiej wioski. Ja zostałem w lesie, w którym, gdzieś dalej, znajdowali się polscy żołnierze.

Byłem sam, siedziałem oparty o pień drzewa z wyciągniętymi nogami – nie miałem siły, aby je podkurczyć. Nagle nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły ostrzeliwać las z karabinów maszynowych. Widziałem nad sobą pikujące myśliwce. Jeden z nich wziął na cel drzewo, pod którym siedziałem. Posypały się liście strącane pociskami. Wokół siebie słyszałem charakterystyczne plaśnięcia uderzających o ziemię pocisków.

Nie wiem, dlaczego, ale nie bałem się wtedy, może to wpływ choroby. Czekając na trafienie pomyślałem – „Oby tylko nie w nogi!”. Nic się jednak nie stało. Całe to wydarzenie coś zapowiadało, ale jeszcze nie wiedziałem co! Znak Czasu?

Atakujące samoloty odleciały. Powróciła Rodzina i ruszyliśmy dalej, ja oczywiście na plecach ojca.

Zatrzymaliśmy się w gospodarstwie na skraju wsi, która nazywała się Sinołęka. Życzliwi gospodarze użyczyli nam schronienia. Mnie zrobiono posłanie w stodole na pachnącym sianie.

Leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, wdychałem zapachy łąki. Te zapachy, a może coś innego, spowodowały, że w moich myślach pojawił się obraz Zbyszka wiozącego córkę Juranda do Spychowa.

Gdy przejeżdżali przez łąkę, dotąd nieprzytomna Danuśka ocknęła się i rzekła ...„kwiecie pachnie”... i usnęła na zawsze (znałem już wtedy *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza, jak również całą *Trylogię*).

Nastrój ten został przerwany świstami i wybuchami pocisków artyleryjskich. Znaleźliśmy się pomiędzy polskimi i niemieckimi stanowiskami ogniowymi. Nad zabudowaniami, przeraźliwie gwizdząc przelatowały pociski artyleryjskie. Tak jak i pod tamtym drzewem – nie bałem się.

Powoli zanikała moja świadomość. Jeszcze jak przez mgłę widziałem przebiegających przez podwórze polskich żołnierzy i straciłem przytomność.

Podobno leżałem tak kilka dni i Rodzina przygotowywała się, aby mi sprawić pochówek – tak mi później powiedziano.

Był pogodny i ciepły dzień, kiedy znów zacząłem dostrzegać świat żywych.

W pobliżu stodoły stała psia будa, przed którą leżała suczka. Obok niej baraszkowały wyrosnięte szczeniaki. Nagle pomiędzy nimi dostrzegłem roczną córkę mojej siostry – Elżunię. Z uwagi na drobną budowę była nazywana Kruszyńką. Było przyjemnie patrzeć jak zwierzęta i Kruszyńka wyprawiają różne harce. W czasie tej zabawy szczeniaki powłaziły do budy, a Kruszyńka za nimi. Suczka przesunęła się bliżej budy przysłaniając sobą wejście.

Po pewnym czasie zauważyłem dorosłych nerwowo przebiegających przez podwórze – domyśliłem się, że poszukują dziecka. Byłem fizycznie bezsilny w całym tego słowa znaczeniu i nie byłem w stanie im powiedzieć ani wskazać gestem, gdzie jest Kruszynka.

Widząc tę krzątanię, suczka odsunęła się od budy i położyła na boku. Było to hasło dla piesków, że czas na karmienie. Natychmiast wyszły z budy, a z nimi Kruszynka, która spokojnie podreptała do domu.

Stopniowo powracałem do zdrowia. W następstwie przebytej choroby wypadły mi wszystkie włosy z głowy i przez jakiś czas byłem prawie łysy. Żałowałem bardzo, gdyż miałem ładne, kręące się włosy.

5. POWRÓT DO WARSZAWY

Była już druga połowa października 1939 roku, gdy wynajętą furmanką przyjechaliśmy do Warszawy. Mieszkanie i znajdujący się w nim dobytek były względnie całe. Doglądali go starszy brat i siostra, którzy pozostali w mieście i przetrwali oblężenie wojsk niemieckich. Warszawa skapitulowała 28 września 1939 roku.

W czasie jazdy musieliśmy ustępować drogi niemieckim oddziałom wojska i przystawać na punktach kontrolnych żandarmerii wojskowej.

Gdy czekaliśmy na wolny przejazd, obok nas zatrzymała się na postój kolumna żołnierzy Wehrmachtu. Wywiązała się nawet rozmowa – wielu żołnierzy znało język polski. Powiedzieli, że gdyby żył „Dziadek” (Marszałek Polski Józef Piłsudski), to wojny by nie było. Poza tym rozmowa była przyjazna. Któż mógł przypuszczać, że w następnych miesiącach rozpocznie się już planowy i celowy terror okupanta?

Powróciliśmy i od razu smutek. 31 października 1939 roku zmarł najstarszy brat Janek, który został w czasie oblężenia Warszawy ciężko ranny odłamkami pocisku artyleryjskiego. Wszyscy byliśmy na pogrzebie. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem płakać.

Skromne zapasy żywności przywiezione ze wsi szybko się skończyły i głód zajął nam w oczy.

Starsi dowiedzieli się, że w Porcie Praskim stoją barki z żywnością i natychmiast udali się na „organizację”. Efektem było zdobycie kilku wiader słodkiego soku i kilku worków ryżu. Były to nasze podstawowe i jedyne artykuły żywnościowe przez parę miesięcy. Żałuję, że nie przyszedł mi wtedy do głowy pomysł napisania książki kucharskiej na temat tego, co można przyrządzić z ryżu i soku.

W październiku rozpoczynano nauczanie w szkołach. Moja szkoła nr 51 na ulicy Szerokiej legła w gruzach trafiona bombą lotniczą, stąd na lekcje chodziłem do innego budynku na tej samej ulicy. Uczono już wtedy obowiązkowo języka niemieckiego. Po kilku miesiącach wycofano naukę języka niemieckiego z programu nauczania.

6. MAJSTEREK

W lutym 1940 roku, z uwagi na ciężką sytuację rodzinną przerwalem ostatni rok nauki w szkole powszechnej i poszedłem do pracy, do warsztatu samochodowego C. Kozikowskiego na ulicy Waliców, to jest na terenie powstającego żydowskiego getta w Warszawie.

Warsztat przejęty przez Niemców naprawiał samochody wojskowe. Dostałem specjalny dokument tożsamości, tzw. Ausweis, przepustkę

na wejście do getta i, co najważniejsze, dodatkowe kartki na żywność.

Mając lat 18, nabyłem tam umiejętności naprawiania zespołów i mechanizmów, a szczególnie silników ówczesnych samochodów. Warsztatowcy nadali mi przydomek „Majsterek”.

Stało się to za przyczyną mojego brata Józefa (zmarł 23.06.1982 roku mając 63 lata), który był tam już znanym mechanikiem (rozpoczął pracę przed 1939 rokiem) i to on wciągnął mnie do pracy. Powiedział wtedy: „Nie patrz gnojku, że to są Niemcy, ale ucz się fachu, gdyż to przyda ci się w życiu”. Miał rację! Od tamtego czasu do dnia dzisiejszego jestem związany z motoryzacją.

Z tego warsztatu 8 lutego 1944 roku (tj. 5 miesięcy po moim aresztowaniu) żołnierze Komendy Głównej Armii Krajowej podstępem wyprowadzili niemiecki samochód pancerny. Opisał to Tomasz Strzembosz w wydanej w 1978 roku książce pt. *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939–1944* (s. 331–332).

7. GETTO

Żydowskie getto w Warszawie, odgródzone od „dzielnicy aryjskiej” wysokim trzymetrowym murem, to wstępna klasa obozu koncentracyjnego.

Działały tam sformowane przez Niemców policja żydowska i starszyzna getta. Jedni i drudzy musieli wykonywać drastyczne polecenia okupanta.

Posiadając specjalną przepustkę uprawniającą do wejścia do getta, mogłem przy zachowaniu szczególnej ostrożności poruszać się po jego terenie.

Widziałem ludzi tak wychudłych, że wyglądali jak szkielety obciągnięte skórą. Widziałem jak upadali na ulicy, aby się już więcej nie podnieść. Widziałem wyciągnięte chude ręce i głęboko zapadłe oczy, proszące bez słów o pomoc.

W warsztacie, w którym pracowałem, za zgodą niemieckiego kierownictwa pracowało również kilku żydowskich prominentów. Zwracali się do nas z prośbą, aby im przynosić ze strony aryjskiej szynkę i bułki.

Wiszące duże afisze informowały o przedstawieniach teatralnych i lokalach rozrywkowych. Były restauracje i kawiarnie, w których przebywali Żydzi wyglądający na zamożnych – dobrze odziani i odżywieni.

W getcie było kilkanaście sierocińców i domów opiekuńczych dla dzieci. Dom Sierot dr. Janusza Korczaka przeszedł do historii jako symbol heroizmu i zachowania ludzkiej godności. W czasie tzw. Wielkiej Akcji w lipcu 1942 roku dobrowolnie poprowadził on swoich podopiecznych na Umschlagplatz, skąd zostali wywiezieni do niemieckiego nazistowskiego obozu zagłady w Treblince.

Mój brat Józef miał „specjalne powiązania” i przemycał do getta paszporty wystawione przez przedstawicielstwa państw Ameryki Południowej. Wystawiane one były na nazwiska osób mieszkających w getcie, ale przesyłane na adresy zaufanych Polaków po „stronie aryjskiej”.

Do końca życia nie chwalił się tym, a tajemnicę kontaktów w tej sprawie zabrał ze sobą do grobu. Starałem się poznać tajemnicę tych kontaktów, ale nie dotarłem do wiarygodnych źródeł. Podobna tematyka opisana jest w książce Agnieszki Haski *„Jestem Żydem, chcę wejść”. Hotel Polski w Warszawie 1943.*

Ja nosiłem do getta tylko żywność.

Żołnierze Wehrmachtu lub formacji SS, którzy przychodzili do warsztatu, urządzali sobie sadystyczne zabawy, których ofiarami byli przechodzący obok bramy wjazdowej mieszkańcy getta. Rozrywką było dla nich zatrzymanie Żyda z długą brodą, którą podpalali zapalniczką. Po czym nakazywali, aby nieszczęśnik z palącą się brodą szybko uciekał.

Kiedyś uległa awarii sprężarka do pompowania opon. Znajdujący się w warsztacie niemiecki żołnierz wyłapywał mężczyzn i nakazywał gumową pałką szybko ręcznie pompować oponę. Jak taki nieszczęśnik upadał ze zmęczenia, zastępował go następnym.

W lipcu 1942 roku w getcie warszawskim rozpoczęła się akcja deportacyjna, w wyniku której Niemcy wywieźli i zamordowali w komorach gazowych obozu zagłady w Treblince, według różnych źródeł historycznych, ok. 265–300 tysięcy Żydów.

Teren getta został bardzo znacznie zmniejszony i podzielony na samodzielne sektory warsztatów i fabryk, w których przymusowo pracowali Żydzi na potrzeby armii niemieckiej. Warsztat samochodowy, w którym pracowałem, w wyniku tych zmian znalazł się poza terenem getta.

19 kwietnia 1943 roku na teren szczątkowego już getta wkroczyły oddziały niemieckiego wojska, wyposażone w ciężki sprzęt bojowy z zadaniem ostatecznej jego likwidacji. Niespodziewanie natrafili na zbrojny opór zorganizowanych grup bojowych Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego. Walki przybrały dramatyczny charakter. Niemcy kolejno podpalali domy i wpuszczali do bunkrów obronnych trujący gaz.

Widziałem, jak z okien płonącego domu wyskakiwali ludzie. Na Pradze, tam gdzie mieszkalem, dymy palących się domów były bardzo

widoczne i słyszało się detonacje i odgłosy wystrzałów.

Władze niemieckie ogłosiły, że 16 maja 1943 roku jest dniem ostatecznej likwidacji warszawskiego getta. Zostało to zwieńczone zburzeniem Wielkiej Synagogi w Warszawie.

Ten zbrojny opór bojowników i ludności getta nazwany został po wojnie Powstaniem w Getcie Warszawskim.

Nazistowska machina śmierci dokonała ludobójstwa między innymi ok. 6 milionów ludzi pochodzenia żydowskiego różnych narodowości, w tym ok. 3 milionów z Polski. Najwięcej ofiar pochłonęły obozy zagłady zlokalizowane przez Niemców na terenie Polski. Stąd:

Sposób opowiadania o Holocauście wiąże się ze sposobem opowiadania o Polsce. Sherwin (rabin Byron L. Sherwin) pisze o dwubiegunowo przeciwnych modelach. Jeden „traktuje każdego Polaka jako nazistowskiego kolaboranta w mordowaniu Żydów, zaś Kościół katolicki w Polsce – jako chorobliwie antysemityczny teologicznie”. Ci, którzy posługują się drugim modelem, opowiadają „o Polsce jako raju dla Żydów, szczególnie w XVI i XVII wieku, gdy Żydzi znaleźli tutaj bezpieczną przystań przed niemieckim antysemityzmem. Opowiadają o polskich chasydach, wkładzie Żydów w polską kulturę, przemysł, ekonomię i duchowość”. Tak, więc sposób przedstawiania historii zależy od założeń i poglądów tego, kto ją opowiada.

(Cytat pochodzi z podsumowania zawartego w książce Jacka Leociaka, *Tekst wobec Zagłady. O relacjach z getta warszawskiego*, Wrocław 1997, Monografie Fundacji Na Rzecz Nauki Polskiej).

8. AMULET

W 1943 roku nasiliły się bombardowania Warszawy przez samoloty rosyjskie.

Byłem spokojny i powolny (ferajna nadała mi przezwisko „Mamut”) aż do czasu jednego z nocnych nalotów. Po ogłoszeniu alarmu lotniczego wszyscy schronili się w piwnicach, a ja stałem na otwartej przestrzeni obserwując smugi świetlne i rozbłyски pocisków niemieckiej artylerii przeciwlotniczej oraz błyski eksplodujących za Wisłą bomb (mieszkałem na Pradze).

Nagle usłyszałem świst! Poczułem gorąco na twarzy i coś upadło na ziemię. Długi, ostry odłamek przeciwlotniczego pocisku ważący ok. 0,5 kg upadł tuż przed noskami moich butów. Był bardzo gorący.

Od tego czasu nie byłem już tak powolny, a odłamek pocisku jako amulet przechowywałem w mieszkaniu.

Określenie amulet jest tu chyba najwłaściwsze, gdyż było to już drugie spojrzenie kostuchy w moim kierunku!

Obecnie myślę, że chciała mnie ona przyzwyczaić do kolejnych takich sytuacji. Tylko, kto ją do tego nakłonił? Znak Czasu?

9. CZTERECH NA LITERĘ „S”

Zima roku 1939/1940 była mroźna, a przy tym bardzo głodna.

Nie było dostaw węgla, skąpe zapasy szybko zostały wyczerpane. Z konieczności wszystko, co się mogło palić było skrzętnie z różnych miejsc zbierane lub wręcz zabierane, np. drewniane parkany, kawałki

drewnianych podłóg, ram okiennych i mebli wybieranych z ruin domów.

Dotkliwie odczuwaliśmy brak treściwej żywności, chleb był wtedy rarytasem. Bywały dni, że jadłem tylko jeden skromny posiłek.

Instalacje wodociągowe i elektryczne były uszkodzone, ale wszyscy wzajemnie sobie pomagali.

Zaczęto domowymi sposobami wyrabiać lampy oświetleniowe na karbid. W lampach naftowych spalano między innymi benzynę („kombinowaną” od Niemców) z różnymi dodatkami dla ochrony przed wybuchem.

Wykopane zostały również studnie. Najbliższa była na ulicy Brukowej, pomiędzy Wisłą a ulicą Jagiellońską (na Pradze).

W takich to warunkach zawiązywała się i krzepła koleżeńska przyjaźń. Z przedwojennej ferajny wyodrębniła się nasza paczka: trzech Staśków i jeden Stefan (ten ostatni został zamęczony w obozie koncentracyjnym Gusen I w marcu 1944 roku).

Mieliśmy zwyczaj spotykania się w umówionych miejscach. Na takie spotkania przynosiliśmy to, co dostaliśmy w domu do jedzenia, na przykład jabłko, kromkę chleba, kawałek placka upieczonego na płycie kuchni. Każdy z tych wiktuałów był dzielony na cztery równe części, po czym jedliśmy powoli i w milczeniu.

Gdy piszę te słowa mimo woli pojawia się w mojej świadomości obraz dzielenia chleba w obozie. Czyżby ten koleżeński zwyczaj był „Znakiem Czasu” lub przepowiednią?

Razem chodziliśmy nad Wisłę na spacer, razem łowiliśmy ryby. Razem spotykaliśmy się z dziewczynami.

Żelaznym tematem była sprawa naszego udziału w oporze wobec terroru okupanta. I tak jednocześnie, mając po 17–19 lat, wstąpiliśmy

do Związku Walki Zbrojnej (późniejsza Armia Krajowa). Dostaliśmy się do grupy dywersyjno-propagandowej. Mieliśmy kryjówkę na Pradze przy ulicy Szerokiej. Ja wybrałem sobie pseudonim „Wiktor”.

Zadania były różne, między innymi:

- rozdawanie gazet z tytułami o zwycięstwach Niemiec, a w treści artykułów prawdziwe wiadomości ze świata i Polski,

- roznoszenie różnych ulotek mających na celu podtrzymanie na duchu ludności Warszawy,

- malowanie napisów na murach ruin domów np. „Pawiak pomścimy” i symboli Polski Walczącej (stylizowana kotwica tworząca litery PW).

- wywieszanie flag polskich w mało dostępnych miejscach w rocznice przedwojennych świąt państwowych. Ostatnia taka akcja, która na trwałe pozostała w mojej pamięci, miała miejsce 11 listopada 1942 roku. Ponownie zobaczyłem polską flagę dopiero 5 maja 1945 roku, w dniu wyzwolenia obozu w Gusen.

Pracując w warsztacie samochodowym, przy udziale innych działających w konspiracji mechaników, dokonywaliśmy w naprawianych zespołach i mechanizmach niemieckich samochodów wojskowych pewnych zabiegów, które powodowały, po przejechaniu paru tysięcy kilometrów, ich awarię. Były to wyłącznie samochody przeznaczone na front wschodni. Sposoby dokonywania tych zabiegów były finezyjne, wręcz niemożliwe do wykrycia w warunkach frontowych.

W grupie dywersyjno-propagandowej (tzw. małego sabotażu) Związku Walki Zbrojnej działaliśmy dwójkami – ja ze Stefanem oraz dwóch Staśków. Z tej paczki przeżyło wojnę trzech Staśków, jeden z nich zmarł tragicznie po zakończeniu wojny.

23 DNI NA PAWIAKU

1. DO WIDZENIA, MAMO!

Nadszedł pamiętny dzień 12 września 1943 roku. Wychodząc wieczorem, przed godziną policyjną, na nocną konspiracyjną zbiórkę, spotykam na podwórku Matkę.

– Dokąd idziesz Stachu? – pyta.

– Do widzenia, Mamo! – odpowiadam niefrasobliwie. – Nie wrócę aż za dwa lata! Aż się wojna skończy.

Spojrzała na mnie w zadumie i bez słów odeszła. Wypowiedziane słowa okazały się ostatnimi, które skierowałem do Matki. Będę je pamiętał do końca życia. Od tego wydarzenia minęły już 73 lata, a ja nadal zadaję sobie pytanie, co kierowało mną, że tak proroczo odpowiedziałem?

Ranek 13 września 1943 roku. Wspólnie ze Stefanem wykonujemy ustalone zadanie. Niespodziewanie „nadziewamy się” na patrol żandarmerii niemieckiej i... stało się!

Doprowadzono nas na posterunek żandarmerii na ulicy Szerokiej (w dawnym młynie). Później trzymano nas w zamknięciu w budynku Dyrekcji Kolejowej na ulicy Targowej. Stamtąd odkrytym samochodem ciężarowym, pod eskortą czterech żandarmów przejechaliśmy w aleję Szucha do siedziby Urzędu Komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa, którego jednym z wydziałów było osławione Gestapo.

W suterenie tego budynku były cztery zbiorowe cele i kilka izolatek. Cele zbiorowe były bez okien, zamknięte od strony korytarza stalowymi kratami. W każdej były dwa rzędy ławek ustawionych tyłem do wejścia.

Obowiązywał zakaz rozmów i odwracania się. Cele te zostały nazwane „tramwajami”.

W takiej celi przesiedzieliśmy całe popołudnie i noc. Widok i jęki skatowanych podczas przesłuchania współwięźniów potęgowały panującą grozę i niepokój. Następnego dnia odbyło się przesłuchanie. Najpierw perswazja, a później zmyślne bicie – szczęśliwie bez trwałych obrażeń cielesnych.

Trzymaliśmy się ze Stefanem uprzednio uzgodnionej wersji zeznań.

Około południa wraz z innymi więźniami zostaliśmy zawiezieni specjalnym samochodem, zwanym pospolicie „budą”, do więzienia Pawiak przy ulicy Dzielnej 24/26. Nazwa „Pawiak” powstała od ulicy Pawiej, gdzie mieściła się dawniej pierwsza brama wjazdowa.

2. PAWIAK

Sposób przyjęcia do więzienia to były różne szykany i poniżenie ludzkiej godności. Regina Domańska w książce *Parwiak – kaźń i heroizm* pisze tak:

Człowiek, którego wtrącono za mury Pawiaka wiedział, że wchodzi w cień śmierci. Tej bliższej czekającej w Palmirach lub Magdalence czy w ruinach getta i tej dalszej, która grasowała w obozach koncentracyjnych. Przed śmiercią więzień Pawiaka, Polak i konspirator, poddawany był straszemu egzaminowi. Więzienie śledcze Pawiak było ostatnim szansem dla żołnierza podziemia. Tutaj staczał walkę z wrogiem bezwzględny i okrutny oraz z samym sobą, uzbrojony w wierność sprawie, w miłość Ojczyzny i świadomość, że od jego wytrzymałości i od jego postawy zależy los współtowarzyszy pozostających za murami. (...)

Poznając dzieje Pawiaka nie dziwimy się tym nielicznym, którzy nie wytrwali, podziwiamy natomiast heroizm tych niezłomnych. A było ich tysiące.

Taka jest prawda o tym miejscu, przez które, według kronik więzienia, w latach 1939–1944 przeszło około 100 000 więźniów. Z tego około 37 000 zostało straconych w egzekucjach, wielu poniosło śmierć od tortur w czasie przesłuchań. Około 60 000 wywieziono do obozów koncentracyjnych i innych więzień lub na roboty przymusowe do Niemiec. Niewielu zwolniono. Było też kilkanaście udanych ucieczek.

Ja i Stefan jeszcze raz byliśmy wiezieni „budą” na ponowne przesłuchanie z Pawiaka do siedziby Gestapo w alei Szucha. Szczęśliwie i tym razem skończyło się tylko na profilaktycznym biciu. Sądząc po ruchu w budynku i jękach katowanych ludzi, mieli chyba ważniejsze sprawy od naszej i stąd, według mnie, mieliśmy „taryfę ulgową”.

Opatrzność czy kolejny „Znak Czasu”?

3. KWARANTANNA NA PAWIAKU

Początkowo przebywałem w celi przejściowej tzw. kwarantannie. Kilkunastu więźniów w małej klitce, spanie na tym, co było kiedyś siankiem rozłożonym na betonowej podłodze. Czasami nie starczało tego pośłania dla wszystkich. Liczba więźniów w celi zmieniała się. Moi współtowarzysze to: oficer rosyjski, który zbiegł z obozu jenieckiego, były polski marynarz floty handlowej, ludzie różnego pokroju z ulicznych łapanek, członkowie organizacji konspiracyjnych, którzy zostali wsypani lub wpadli w czasie akcji i dziesięciu kilkunastoletnich chłopców z harcerskiej

organizacji Szare Szeregi. Nazywano ich „Dziesięciu z Pawiaka”.

Po drugim przesłuchaniu przeniesiono mnie na Oddział do kilkuosobowej celi na piętrze i pozwolono na wysłanie w języku niemieckim karty pocztowej:

Moja Kochana Matko!

Raz na miesiąc można do mnie przesłać paczkę żywnościową o wadze 2 kg poprzez 7 Komisariat Policji Polskiej. Proszę o przesłanie ciepłej bielizny.

Kochana Matko, można do mnie pisać cztery razy w miesiącu, ale tylko w języku niemieckim. Oczekuję od was listu.

Pozdrowienia i ucałowania dla wszystkich

Stasiek

Stempel pocztowy na karcie jest z datą 28.09.1943.

Wiem, że Rodzina po otrzymaniu karty przygotowała i nadała paczkę. Nie zdążyła ona do mnie dotrzeć, bo 5 października 1943 znalazłem się w transporcie do KL Auschwitz.

4. NOCNE UDRĘCZENIA

Zadowolenie, jeżeli to tak można określić, z faktu przeniesienia mnie na Oddział rychło zamieniło się w koszmarne udręczenie. Zmęczeni w ciągu dnia różnymi szykanami, zaraz po wieczornym apelu zasypialiśmy. Nie na długo! Głośny stukot wojskowych butów na korytarzu podrywał wszystkich na pryzach. Kroki ustawały. Zgrzyt otwieranych zamków i zasuw. Padały nazwiska i komenda – Wychodzić! Rzeczy nie zabierać!

Po odejściu esesmanów z więźniami zapadała głucha cisza, pozostali wymawiali szeptem: czapa lub rozwałka. Po pewnym czasie na potwierdzenie tych słów słyhać było dalekie odgłosy wystrzałów z broni palnej.

Ledwie zdążyliśmy odetchnąć z ulgą i ponownie zasnąć, znów rozlegał się stukot wojskowych butów. Z lękiem nasłuchiwalismy, przy której celi się zatrzymają?

Była taka pamiętna noc, kiedy odsunięty został rygiel przy drzwiach do naszej celi. Poderwaliśmy się na łózkach i znieruchomieliśmy. Padło nazwisko i znana wszystkim komenda.

Wychodzący i ci, co pozostawali żegnali się spojrzeniami. I znów oczekiwanie na odgłosy wykonania wyroku.

Powtarzało się to nieraz kilka razy w ciągu nocy! Była to jedna z sadystycznych metod znęcania się nad więźniami.

W tym czasie powstanie w getcie było już stłumione (wg danych niemieckich – 16 maja 1943 roku). Domy na ulicach otaczających Pawiak zostały wypalone lub wyburzone (Pawiak znajdował się na terenie getta). W ruinach tych domów dokonywano egzekucji na więźniach.

5. OBÓRKA

Rano po apelu więźniowie byli wypuszczani kolejno z poszczególnych cel do ubikacji – była to tzw. „obórka” (zniekształcone słowo z carskich czasów „uborka”).

Więźniowie oprócz załatwiania własnych potrzeb fizjologicznych i umycia się, musieli opróżnić i oczyścić, wzięte z celi, kibel i miskę oraz napełnić dzbanek wodą, a umywalek było kilka. Po kilku minutach wszyscy musieli wracać do celi. Wszystko to odbywało się przy popędzaniu i krzykach wachmajstrów.

Któregoś dnia ja i jeszcze jeden z więźniów nie wyszliśmy na „obórkę”.

Dojrzał to wachmajster – Ukrainiec i pyta:

– A wy co?.

– Nam się nie chce – odpowiedzieliśmy.

– No to wam się zachce!

Po zakończeniu „obórki” całego Oddziału wywołano nas dwóch z celi na korytarz i zaczęła się „gimnastyka”, skakanie żabek, padnij-po-wstań, chodzenie na łokciach i kolanach itp. Po godzinie takiej gimnastyki ledwo dowlekliśmy się do celi. Od tego czasu zawsze „nam się chciało”.

Podobne ćwiczenia były stosowane za faktyczne oraz wymyślone przez wachmajstrów wykroczenia.

6. PCHEŁY I PLUSKWY

Dodatkowym czynnikiem potęgującym udrękę więzienną były pchły i pluskwy w ilościach niespotykanych na wolności.

Pluskwy to bardzo zmyślne insekty. W ciągu dnia czaiły się w niedostępnych dla nas zakamarkach, aby w nocy „napadać” na ludzi. Nieświadomi tego, rano na ciele mieliśmy liczne krwawe plamki, ślady ukąszeń. Nie pomagało szczelne zawiązywanie nogawek, rękawów i kołnierzyków bielizny. Pluskwy sprytnie zawsze znajdowały jakąś szczelinę i dobierały się do ciała.

Zastosowaliśmy „fosy” – pod nogi prycz wstawialiśmy nasze miski napelnione wodą, ale wtedy pluskwy wchodziły na sufit i spadały celnie na odsłoniętą część ciała.

Walka z insektami była utrudniona, gdyż w nocy nie paliło się w celach światło, a wyłączniki były na korytarzach.

7. ŚWIERZB

W więzieniu mimo terroru i ciągłego widma śmierci działała konspiracja, polityczna i więźniarska. Ta ostatnia miała na celu podtrzymywanie na duchu i stosowanie wybiegów dających na jakiś czas wytchnienie. Doświadczyłem tego osobiście.

Jeden z zaprzyjaźnionych więźniów „postarał się”, abym zaraził się świerzbem. Jest to choroba pasożytnicza wywołana przez gatunek roztoczy – świerzbowce. Te mikroskopijne żyjątka powodują silne swędzenie skóry i stan zapalny, wywołany przez drażnienie, głównie w nocy, w naskórku

korytarzyków przez samice świerzbowca.

Chorzy na świerzb przebywali w oddzielnej celi, do której nikt z administracji więzienia nie wchodził. Oddzielnie chodziło się na „obórkę”. Jedzenie i lekarstwo podawano przez okienko w drzwiach. Byliśmy jak trędowaci.

Niestety, „laba” nie mogła trwać długo. Do zwalczania świerzb podawano siarkowe smarowidło, którego nie można było „upłynnić” – cela była bez okna, sprawdzano też, czy nie jest wylewane do kibla. Stąd po około 5 dniach swobody, wyleczony wychodziłem na Oddział, ale zachowałem zdolność przekazania świerzb innym.

Ta cela zawsze miała i musiała mieć „pacjentów”.

8. TRANSPORT

Po powrocie ze „świerzbowego sanatorium” zwanego przez więźniów „krecą” (z niemieckiego die Krätze), a było to na początku października 1943 roku, dał się odczuć ruch na Oddziałach. Funkcyjni więźniowie poinformowali, że szykuje się duży transport.

Rzeczywiście, 5 października 1943 roku wieczorem więźniowie zostali wyprowadzeni z cel i zgrupowani w wyznaczonych pomieszczeniach. Następnie, po dokonaniu rewizji, wyprowadzeni na zewnątrz i ładowani do „bud” (specjalne samochody ciężarowe do przewozu więźniów), a potem zawiezieni na dworzec kolejowy i wpędzeni do krytych wagonów towarowych. Temu wszystkiemu towarzyszyły wrzaski i ponaglenia przy wsiadaniu do wagonów.

Pociąg składał się z kilkudziesięciu wagonów, w tym platformy

z karabinami maszynowymi i wagonów osobowych dla eskorty. Źródła dokumentacyjne podają, że był to największy transport więźniów Pawiaka, liczący około 1500 mężczyzn i kobiet.

Jazda trwała więcej niż dobę. Ścisk w wagonie był tak duży, że tylko część więźniów mogła siedzieć w kucki, reszta stała. Jeżeli ktoś wstał, to na jego miejsce siadał stojący i tak przez całą drogę. Zaduch okropny. Dwa małe okratowane okienka nie wpuszczały dostatecznej ilości powietrza. Potrzeby fizjologiczne załatwiane były w jednym z narożników wagonu. Następnej nocy na bocznicę, poza stacją kolejową, otworzono drzwi wagonów i przyniesiono wodę w kotłach, ale dla wszystkich nie wystarczyło.

Znający trasy kolejowe więźniowie ustalili, że jedziemy w kierunku Krakowa. Było jasne. Wiozą nas do Oświęcimia, do osławionego obozu koncentracyjnego Auschwitz, miejsca zagłady ludzi przez „narludzi”.

31 DNI W KL AUSCHWITZ-BIRKENAU

1. MACHINA ZAGŁADY

Noc! Niebo zasnuwane chmurami, jak gdyby nie chciało widzieć tego, co się będzie działo.

Bocznica kolejowa. Z wagonów wypędzono żywych, martwych wyniesiono. Z naszego wagonu również. Kolbami karabinów ustawiono więźniów w piątki. Kolumna ruszyła w kierunku widocznych w oddali światła. Przemęczeni podróżą w potwornych warunkach i przerażeniu „powitaniem”, więźniowie potykali się i upadali odrazu, jakich nie szczędziła im eskorta. Wyczerpanych, którzy nie mogli nadążyć „zachęcano” do marszu biciem. Wielu szło siłą woli, wspierali ich lub ciągnęli inni. Kto upadł, był dobijany.

Tak w ciemną i mglistą październikową noc przekroczyliśmy bramę obozu z napisem „Arbeit macht frei”.

Po wejściu na teren obozu upchnięto nas w obszernym baraku, gdzie „przywitał” nas funkcyjny więzień – Żyd: „Panowie z Pawiaka, szadajcie!” I tak przesiedzieliśmy na podłodze aż do rana. Później: rejestracja, strzyżenie, kąpanie, tatuowanie – otrzymałem numer 156569 wytatuowany na wewnętrznej stronie lewego ramienia. Z niewiadomych przyczyn w tym czasie więźniom kilku transportów wytatuowano numery w tym miejscu zamiast na lewym przedramieniu.

Zabrano cywilne ubrania i wydano „pasiaki” i drewniaki.

Byłem zdziwiony – większość funkcyjnych więźniów, którzy nas obsługiwali to byli Żydzi.

Po tym wszystkim zaprowadzono nas do oddalonego o około 3 km obozu Birkenau i ulokowano w barakach, które były usytuowane tak, że widać było rampę kolejową i krematorium. Widać było również sąsiadujące, odgródzone drutami kolczastymi baraki dla kobiet i Cyganów.

2. ZARYS HISTORII KL AUSCHWITZ

Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny na terenie miasta Oświęcim istniał w latach 1940–1945.

Główny Urząd SS zwrócił uwagę na miasto Oświęcim po aneksji tych ziem do III Rzeszy, jako na „dobrze usytuowaną miejscowość”, w której bez większych inwestycji można będzie „izolować” niewygodnych dla III Rzeszy ludzi, w pierwszym rzędzie polską inteligencję i „inny szkodliwy element”. Początkowo chodziło głównie o szybkie znalezienie „obszerniejszego pomieszczenia” dla Polaków, masowo aresztowanych na Śląsku i w nowo utworzonej Generalnej Guberni, którzy nie mieścili się już w istniejących aresztach i więzieniach. Oświęcim to miasto położone w rozwidleniu Wisły i Soły, w pobliżu Krakowa, a więc w dobrym punkcie komunikacyjnym i – co najważniejsze – dysponowało dawnymi polskimi koszarami, które od razu mogły stać się obozem koncentracyjnym.

W kwietniu 1940 roku Reichsführer SS Heinrich Himmler rozkazem wydanym Oberführerowi SS Richardowi Glückowi postanowił, że koszary oświęcimskie przejmują SS i że muszą się one przerodzić w Konzentrationslager. Nazwali go KL Auschwitz. Rozrastał się w bardzo szybkim tempie.

Najpierw powstał KL Auschwitz I – zwany przez Niemców Stammlager, a przez Polaków „macierzystym”. Po nim stworzono Auschwitz II – Birkenau, a na końcu pobudowano Auschwitz III – Monowitz, przy zakładach Buna-Werke koncernu IG-Farben.

W maju 1940 roku do KL Auschwitz przybyło trzydziestu niemieckich kryminalistów z KL Sachsenhausen. Wyznaczono im funkcje blokowych i kapo, to znaczy mieli być „przedłużonym ramieniem” władzy SS. Razem z nimi, jako nadzór, zjawili się kilkudziesięciu esesmanów z Krakowa.

Pierwszy transport, który przybył do KL Auschwitz z Tarnowa 14 czerwca 1940 roku składał się z 728 aresztowanych Polaków. Drugi, też polski, przysłany z Nowego Wiśnicza sześć dni później, liczył 313 więźniów (był w nim m.in. znany rzeźbiarz Xawery Dunikowski).

Od tego czasu zaczyna się historia KL Auschwitz, który przeszedł do historii jako jedna z najpotworniejszych fabryk śmierci naszych czasów. Potem już systematycznie zwożono do KL Auschwitz ludzi setkami tysięcy i nie tylko z Polski, ale z całej okupowanej Europy na okrutne, nigdy dotąd niepraktykowane w świecie i w Europie, masowe ludobójstwo.

Zwożeni do KL Auschwitz więźniowie od samego początku nie mieli prawie żadnych szans na przetrwanie. Świadczyło o tym między innymi ich codzienne wyżywienie, które tylko w małej części pokrywało zapotrzebowanie organizmu pracującego człowieka, toteż straszliwy głód szybko wycieńczał organizm. Już w pierwszych miesiącach, jeśli nie w tygodniach, „zmuzułmanienie” w Auschwitz stawało się powszechne. Panoszący się brud, a w następstwie jego ogólne zaważenie, świerzb, daleki tyfus, gruźlica, krwawa biegunka i inne śmiertelne choroby dokonywały

reszty. Oczywiście ten system dziesiątkowania ludzi był z góry przez Niemców zaplanowany.

Rzeczywistej liczby ofiar nie da się ustalić. Według publikacji Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau z 2008 roku KL Auschwitz pochłoniął od 1,1 do 1,5 miliona istnień ludzkich.

Najbardziej znanym komendantem KL Auschwitz, który stworzył obóz od podstaw i przewodził mu najdłużej, był – powieszony po wojnie w Krakowie – SS-Obersturmbannführer Rudolf Höss.

Mówiąc o eksterminacji ludzi w KL Auschwitz, należy podkreślić, że Höss i jego podwładni z SS działali pospół z inteligencją i uczonymi niemieckimi. Mowa tu o lekarzach, którzy swą działalnością realizowali w obozie proces ludobójstwa. W KL Auschwitz profesorowie Carl Clauberg i Josef Mengele prowadzili na więźniach pseudomedyczne doświadczenia.

Do znaczniejszych zbrodniarzy zaliczyć można:

SS-Untersturmführera Gerarda Lachmanna

SS-Oberscharführera Klausa Dylewskiego

SS-Oberscharführera Wilhelma Bogera

SS-Hauptsturmführera Hansa Aumeiera

SS-Untersturmführera Franza Hösslera

SS-Untersturmführera Gerharda Palitscha i wielu innych.

To oni rozstrzeliwali więźniów, oni ich wieszali, selekcjonowali do gazu, wymierzali kary słupka, ciemnicy, bunkra czy chłosty.

W KL Auschwitz i jego wszystkich podobozach piekło hitlerowskie

trwało aż do 27 stycznia 1945 roku, to jest do dnia ogłoszenia ewakuacji, którą przyspieszało zbliżanie się frontu wschodniego.

W owe ostatnie dni wysłano więźniów między innymi do obozów koncentracyjnych: Flossenbürg, Buchenwald, Natzweiler, Dora-Mittelbau, Neuengamme, Ravensbrück, Stutthof, Sachsenhausen, Gross-Rosen, Mauthausen-Gusen, Bergen-Belsen.

Więźniów i więźniarki ewakuowano pociągami, na otwartych lorach lub pieszo, w mniejszych i większych grupach. Wszystkich wywożono lub pędzono na zachód – najczęściej w kierunku sąsiednich obozów. Więzień, który nie nadążał za kolumną był rozstrzeliwany na miejscu. Z załadowanych lor, zamarzających na kość więźniów, setkami wyrzucano na przytorze. W tej ostatniej ewakuacyjnej „drodze przez mękę” ginęły dziesiątki tysięcy ludzi.

3. AUSCHWITZ I

Obóz ten powstał w kwietniu 1940 roku. Nazywano go centralnym lub macierzystym (Stammlager).

W pasiaki przebierano więźniów już w pierwszych dniach po przybyciu do obozu.

Tatuowanie więźniów kolejnymi numerami rozpoczęto w KL Auschwitz I dopiero z końcem 1942 roku. Podobnie jak w innych obozach, więźniów numerowano i oznakowywano różnokolorowymi „winkłami” oznaczającymi kategorię aresztowania, na których były pierwsze litery nazw państw, których byli obywatelami. Baraki (dawne koszary) były murowane, potocznie zwano je blokami. Na każdym bloku

przebywało około 1 200 więźniów. W okresach „przeludnienia”, więźniów lokowano również na strychach lub w piwnicach.

Pierwszej egzekucji dokonano 22 listopada 1940 roku. Rozstrzelano wtedy 40 polskich więźniów. Pierwszą próbę gazowania przeprowadzono na jeńcach sowieckich w podziemiach baraku 11, na tzw. bloku śmierci. Potem, już do samego końca, praktykowano egzekucje pod byle pretekstem niemal codziennie.

Niemcy mordowali ludzi w KL Auschwitz na różne sposoby. Zabijali ich m.in. w bunkrze – ciemnicy, której powierzchnia nie przekraczała 7 m². Wtłaczano do niej 10, a nawet 12 więźniów i nie dawano im nic do jedzenia i picia. Wszyscy umierali tam z głodu i braku powietrza. Innym sposobem uśmiercania były tzw. celki śmierci o powierzchni 0,9 x 0,9 metra, do których dopuszczano powietrze przez otworki o średnicy 5 cm. Do tych celek wpychano po czterech więźniów.

4. AUSCHWITZ II – BIRKENAU

Budowę tego obozu Niemcy rozpoczęli w drugiej połowie 1941 roku. Do morderczej pracy przy budowie obozu zaganiali jeńców sowieckich.

KL Auschwitz II – Birkenau oddalony był od obozu macierzystego zaledwie o trzy kilometry. Pierwotnie obóz ten przewidziany był na „miejsce odosobnienia” dla 200 tysięcy Sowietrussen.

Auschwitz II zajmował powierzchnię około 40 km². O jego ogromie mówi fakt, iż samo tylko naelektryzowane ogrodzenie obozu ciągnęło się ponad 18 km. Doprowadzono linię kolejową i pobudowano budynki – wyposażone w komory gazowe i piece do spalania zwłok.

Zasadniczo obóz był podzielony administracyjnie na podobozy: żeński międzynarodowy, żeński „węgierski”, męski międzynarodowy, męski kwarantanna, żydowski rodzinny, dla Sinti i Romów rodzinny, rewir (szpital), tzw. Kanada (magazyny mienia zagrabionego), tzw. Meksyk (nieukończony przejściowy dla Żydówek). Ten stan organizacyjny ulegał zmianom w zależności od liczby więźniów napływających do obozu.

„Ulice” (zwłaszcza wiosną i jesienią) tonęły w błocie, sięgającym często wyżej kostek, nie było wody do picia i do mycia, od pierwszych dni panował brud i głód. Ludzi gnębiły wszawica, świerzb i inne choroby. Okropności obrazu dopełniała zastraszająca plaga szczurów.

Pierwsze więźniarki polskie przywieziono do Frauenkonzentrationslager Birkenau w sierpniu 1942 roku z obozu centralnego – z karnej kompanii. Część kobiet zdrowych przeznaczono do pracy fizycznej w różnych fabrykach i instytucjach. Ulokowano je w murowanych barakach. Inne, słabe i chorowite stłoczono w barakach drewnianych.

Do KL Auschwitz II Niemcy przywozili także kobiety ciężarne. W tych potwornych warunkach rodziły one dzieci, których żywot kończył się zazwyczaj w krematorium. W chwili wyzwolenia w Birkenau znajdowało się jeszcze 180 nowo narodzonych dzieci, których Niemcy nie zdążyli zagazować.

Nadzór nad kobietami w Birkenau sprawowały dozorczyńnie. Były to kobiety wyzute z wszelkich cech człowieczeństwa; pastwiły się nad bezbronnymi i chorymi więźniarkami w sposób najbardziej bezwzględny i wyrafinowany.

Zwożono rodziny żydowskie ze wszystkich podbitych krajów europejskich. Niemcy ogłaszali, że wywożą ich do Polski, do obozu pracy – do niejakiego Birkenau.

Po przybyciu na miejsce, Żydzi musieli „deponować” wszystko, co przywieźli. Niemcy obiecywali im zwrot rzeczy osobistych zaraz po odbyciu kąpieli, która – ze względów higienicznych, jak argumentowano – obowiązywała każdego.

Przed kąpielą nowo przybyli musieli się rozebrać, odzież i bieliznę ułożyć w takim porządku, aby „potem nie było trudności z jej odnalezieniem” i prowadzono ich pod „prysznic”. Razem – mężczyźni, kobiety i dzieci. „Łaźnia” w Birkenau miała około 210 m² powierzchni. Jednorazowo upychano w niej około 1 200 ludzi i szczelnie ją zamykano. Następnie esesmani z maskami na twarzy wchodzili na dach i przez otwory w suficie wrzucali trujący cyklon B.

Tak perfidnie wprowadzano w błąd Żydów czeskich, holenderskich, belgijskich, francuskich, węgierskich. Jedynie polscy i niemieccy Żydzi wiedzieli, co ich czeka.

Potem jedni więźniowie wietrzyli „łaźnię”, drudzy przeglądali uzębienie zagazowanych, inni kontrolowali im ręce, szyje i uszy i zdejmowali lub zrywali kolczyki, naszyjniki, pierścionki, obrączki. Jeszcze inni obcinali zmarłym włosy – jakże cenny dla Niemców surowiec. W końcu komando grabarzy wywoziło trupy do krematorium lub zwałało obok na stosy albo do miejsc spalania zwłok na wolnym powietrzu.

Wszystkie czynności procesu uśmiercania ludzi i sortowania ich mienia wykonywali więźniowie – Żydzi z Sonderkommanda pod nadzorem esesmanów. Co pewien czas uśmiercano tych więźniów i zastępowano nowymi.

W październiku 1944 roku zbuntowała się grupa więźniów z Sonderkommanda, podpaliła krematorium i podjęła ucieczkę.

Niestety, ucieczka się nie udała. Zginęło w walce i zostało zamordowanych kilkuset więźniów. Gestapo przeprowadziło śledztwo i starało się dojść, jakim sposobem i przez kogo Żydzi otrzymali materiały wybuchowe. W rezultacie rozstrzelano dodatkowo wielu więźniów z innych komand oraz kilkanaście Żydówek, pracujących w komandzie produkującym materiały wybuchowe.

5. WOŻENI I IDĄCY DO KREMATORIUM

Któregoś październikowego dnia, nie pamiętam dokładnie daty, nie wypędzono nas do pracy – głównie do robót porządkowych lub rozładunku wagonów z materiałami budowlanymi.

Po porannym apelu, w części obozowej dla kobiet zaczął się ruch.

Kobiety ustawiono w jednym miejscu i kazano im się rozebrać do naga. Podjechały samochody ciężarowe. Nagie kobiety wpędzono na odkryte skrzynie ładunkowe ciężarówek, które wyjeżdżając z bramy obozu kierowały się w kierunku krematorium.

Dla kobiet jadących w samochodach i stojących nago na placu ujawniła się przerażająca prawda – zostaną zagazowane!

Pisząc te słowa, w podświadomości słyszę ponownie rozdzierające krzyki i jęki, widzę gesty rozpaczyny nagich kobiet stojących na placu i tych wiezionych na stracenie. Te, które wyskakiwały lub wypadały z samochodów, były zabijane przez uzbrojoną eskortę jadącą na motocyklach za samochodem.

Wożenie kobiet trwało kilka godzin. Po czym wszystko ucichło. Nastąpiła martwa cisza. Tylko intensywny dym wydobywający się z komina

krematorium mówił o tym, co się wydarzyło.

„Mowę” tego dymu znali wszyscy więźniowie.

Byłem również świadkiem podobnego wydarzenia, ale w innej „oprawie”.

Przy rampie kolejowej zatrzymał się pociąg z wagonami osobowymi tzw. pulmanami, z których wysiedli dobrze ubrani Żydzi z walizkami. Nieświadomi tego, co ich czeka, poprawiali ubrania i otrzepywali kurz z walizek. Ustawiono ich w szeregi i poprowadzono w kierunku krematorium. Szli spokojnie bez oznak niepokoju.

Po pewnym czasie wydobywający się z komina dym powiedział nam, co się stało z tymi ludźmi. Później dowiedzieliśmy się, że byli to Żydzi z Holandii i Belgii.

Zmorą obozową były tzw. selekcje. Po wieczornym apelu przed stojącymi na baczność z odkrytymi głowami więźniami przechodził blockführer (opiekun bloku) z pisarzem, bacznie obserwując więźniów. Jeżeli któryś wyglądał na „muzułmanina” był wskazywany kijkiem, a pisarz zapisywał jego numer. Po kolacji (składającej się z kromki chleba i plasterka wędliny lub łyżki twarogu albo marmolady) wywoływano tych więźniów, formowano w szeregi i odprowadzano na piechotę do krematorium. Szli z otępiałym wyrazem twarzy, powłócząc nogami obutymi w drewniane trepy. Przygarbieni ciężarem własnych rąk. Istny pochód żywych szkieletów.

A później tylko dym z komina krematorium.

6. DZIELENIE CHLEBA

Na gołych deskach pryczy spało po pięciu więźniów mając tylko dwa koce. Przewracanie się w nocy odbywało się na komendę, dlatego że z braku miejsca wszyscy mogli spać tylko na jednym boku. Piątkami też podchodziło się do wydającego wieczorne racje żywnościowe. Najcenniejszy był chleb. Jeden bochenek na pięciu. Brał go jeden z piątki – środkowy. Pozostali tworzyli półkole, w środku którego był ten, co otrzymał chleb (manewr obronny przed zabraniami chleba). I tak wszyscy trzymając się za ręce szli do własnej pryczy. Tam na kawałku papieru z worka od cementu, jeden z więźniów pod baczynym okiem pozostałych kroił chleb na 5 porcji. Metody dzielenia były różne, bo podłużny bochenek miał dwie przylepki.

Osobna sprawa to „noże”, którymi krojono chleb. Posiadanie noża było zabronione, ale chleb musiał być podzielony. Stąd narzędzia te były bardzo różne i bardzo zmyślne. Wykonane z metalowego drutu, kawałka żelaznej blachy, a nawet z drewna i przechowywane w tajemnych miejscach.

Okruszki pozostałe po rozkrojeniu chleba były skrzętnie zbierane i sprawiedliwie dokładane do poszczególnych kromek.

Teraz następował akt rozdawania. Ten, który kroił odwracał się tyłem do pozostałych tak, że zasłaniał sobą pokrojony chleb. Brał do ręki jedną z kromek i nie odwracając się pytał: „Dla kogo?”. Natomiast wybrany z pozostałej czwórki więźniów, wskazywał tego, któremu ma być dana ta kromka chleba. „Obdarowani” brali chleb i pozostawali na miejscu aż do końca rozdawania. Obozową kromkę chleba zjadało się od razu całą lub na raty z namaszczeniem, uważając, by czyjaś wychudła ręka nie

chciała jej zabrać. Była też obozową walutą, za którą można było dostać na giełdzie obozowej coś innego. Palacze całą lub połowę wymieniali na papierosy – ci bardzo szybko „muzułmanieli”.

Po takiej kolacji odbywało się tzw. „gotowanie”, czyli omawianie sposobów przyrządzania potraw. Wygłodzeni myśleliśmy tylko o jedzeniu.

7. KOLEJNY TRANSPORT

W pierwszych dniach listopada, w czasie wieczornego apelu sprawdzano numery więźniów. Wyczytany przez pisarza stawał na baczność, a blockführer lustrował go wzrokiem. Po czym coś krótko mówił do pisarza. Starsi więźniowie powiedzieli, że szykuje się transport. Nadzieja na poprawę kazała pokazywać, że jest się w dobrej kondycji fizycznej, gdyż to warunkowało wpisanie do transportu.

Następnego dnia zakwalifikowanych zgromadzono w wydzielonych barakach w Auschwitz I, gdzie po umyciu wydano świeżą odzież i całodzienne racje żywnościowe.

W baraku było tak ciasno, że można było tylko siedzieć na podłodze. Zamknięte drzwi i okna powodowały ogromny zaduch wywołujący omdlenia. Jakimś sposobem udało się otworzyć pokrywę dachu. Do tego otworu więźniowie podchodzili kolejno, aby chwilę pooddychać świeżym powietrzem.

Noc miała się ku końcowi, gdy załadowano nas do krytych wagonów towarowych. Pociąg ruszył, a więźniowie pokrzepiali się myślą, że będzie lepiej.



545 DNI W KL MAUTHAUSEN, KL GUSEN I I KL GUSEN II

1. Z KL AUSCHWITZ DO KL MAUTHAUSEN

Po opuszczeniu KL Auschwitz nastroje znacznie się polepszyły, mimo że w wagonie nie było zbyt luźno, ale w porównaniu z jazdą do KL Auschwitz, to była „salonka”. Eskorta – dwóch młodych żołnierzy SS – jechała razem z nami – siedzieli przy drzwiach. Od nich dowiedzieliśmy się tylko tyle, że jedziemy do Austrii.

Połowę drogi przejechaliśmy w dość znacznej swobodzie, można było chodzić – żołnierze pozwolili nawet śpiewać. Przez pewien czas śpiewy były nawet dość głośne.

Dlaczego?

To okazało się później, gdy pociąg ruszył dalej, po dłuższym postoju na boczniczy kolejowej w Wiedniu. Zmieniła się eskorta, liczono więźniów. Dwóch brakowało! Liczono kilkakrotnie – wynik taki sam, brakuje dwóch! Żołnierze eskorty odkryli w jednym z narożników wagonu poluzowane deski – wtedy uciekli!

I rozpętało się piekło.

Najpierw było ponowne liczenie, tym razem przy użyciu kolb pistoletów maszynowych – liczono wielokrotnie, każdemu dostała się solidna porcja razów. Następnie dochodzenie wśród tych, którzy głośno śpiewali w tym narożniku (prawdopodobnie dla zagłuszenia odgłosów wrywanych

desek). Każdego z nich biła cała eskorta wagonu, ale oni tylko pomogli w ucieczce. Nic nie wiedzieli o zbiegach.

Wyselekcjonowano trzech. Jeden miał pasek przy spodniach. Na tym pasku zamocowanym do haka w dachu wagonu, powieszono go, przy czym pasek dwa razy się zrywał. Pozostałych pobito do nieprzytomności – zmarli przed końcem podróży.

Ta ucieczka dwóch więźniów pozostaje dla mnie tajemniczym wydarzeniem.

– Dlaczego eskorta dwóch żołnierzy SS pozwoliła na głośne śpiewanie?

– W jaki sposób zostały wyrwane grube deski z podłogi towarowego wagonu?

– Ci, co uciekli byli ubrani w obozowe pasiaki i drewniane trepy, stąd byli bardzo widoczni po wydostaniu się z wagonu.

Usiłowałem wyjaśnić tą ucieczkę, ale nie udało mi się uzyskać wiarygodnych informacji.

Na stacji kolejowej w Mauthausen wypędzono nas z wagonu. Martwych i niezdolnych do chodzenia wynieśliśmy i położyliśmy na peronie. Wyglądaliśmy przerażająco. Posiniaczeni, z krwawiącymi ranami. Na ubraniach zakrzepła krew. Obwisłe ręce i ugięte nogi mówiły o trwałych urazach.

Po ponownym przeliczeniu dołączyliśmy do reszty więźniów. Kolumna ruszyła w kierunku obozu. Martwych i rannych niesiono na końcu kolumny. W taki sposób 6 listopada 1943 roku przekroczyłem bramę obozu w Mauthausen.

Po dwóch dniach pobytu, przeznaczonych na kąpiel w zimnej wodzie i rejestrację wydano nam tylko koszulę, kalesony i drewniane trepy.

Tak ubrani, eskortowani przez esesmanów szliśmy w pochmurny i zimny listopadowy dzień do obozu w Gusen, oddalonego o około 5 kilometrów.

Wycieńczeni jazdą z KL Auschwitz i zimną kąpielą w KL Mauthausen nie wszyscy nadążali w marszu. Było to dla eskorty pretekstem do bicia i popychania. Maszerujący przewracali się. Kto nie mógł się podnieść o własnych siłach był bity, a właściwie dobijany. Tych nieśli więźniowie na końcu kolumny.

Ten marsz po górskiej i krętej drodze, na której wielu zostało, był zapowiedzią tego, co będzie naszym udziałem w Gusen, gdzie więźniowie nadali nam nazwę „kalesonowego zugangu”.

Komendant Mauthausen i przynależnych podobozów Standartenführer SS Franz Ziereis, ujęty przez polskich więźniów i amerykańskich żołnierzy, tak między innymi zeznał na przesłuchaniu 24 maja 1945 roku:

Transport 2500 więźniów z Oświęcimia przybył do Mauthausen i został na rozkaz Berlina w zimie kąpany na placu apelowym zimną wodą. Transport ten musiałem wysłać do Gusen, a nie miałem dla niego żadnego ubrania oprócz kalesonów i koszul. Prosiłem o ubrania dla więźniów, otrzymałem jednak odpowiedź z Berlina, że więźniów, jeśli nie ma dla nich ubrań, można nawet nago wysłać do Gusen.

Komendant Franz Ziereis mówił prawdę zeznając, że więźniowie byli „kąpani na placu apelowym zimną wodą”, ale niepotrzebnie powołuje się na rozkaz z Berlina. W wielu innych przypadkach polecał to robić z własnej inicjatywy.

Prawdą jest, że więźniowie szli tylko w „kalesonach i koszulach”, ale

nie dodaje, że więźniowie przyjechali ubrani i że te ich ubrania zostały im odebrane z jego polecenia.

2. KL GUSEN I – PRZEDSIONEK PIEKŁA

Na lewym brzegu Dunaju, między Wiedniem a Linzem, leży miasteczko Mauthausen, od którego wziął nazwę niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny, odległy od miasta o niecałe 5 km. Był to obóz trzeciej kategorii, obóz wyniszczenia, który istniał w latach 1938–1945. Został on zbudowany przy kamieniołomie granitu Wiener Graben.

Obóz w Gusen, położony przy szosie Mauthausen–Linz był pierwszym podobozem KL Mauthausen. Zaczęto go budować w grudniu 1939 roku jako „obóz zagłady inteligencji polskiej”. Od 1940 roku zaczęto zsyłać do niego Polaków, głównie ze środowisk inteligenckich, aresztowanych w specjalnych akcjach policyjnych. Do końca funkcjonowania tego podobozu Polacy stanowili w nim większość.

Sam obóz był prostokątem o wymiarach około 360 x 150 m. Otaczał go mur z wieżami strażniczymi. Bramę wejściową stanowił budynek komendantury z celami więziennymi, tzw. Jourhaus. W obrębie obozu, w pewnej odległości od muru postawiono drugie ogrodzenie, z drutu kolczastego pod napięciem.

W niezabudowanej części obozu, na tzw. placu apelowym odbywały się trzy razy dziennie apele: rano, w południe i wieczorem. Tu wymierzano publicznie karę chłosty (co najmniej 25 kijów). Tu też ustawiono później szubienicę. Na słupie wisiał dzwonek obwieszczający, jak głosiła wypisana na nim dewiza, początek wszystkich poczynąń:

Ob Tag, ob Nacht,
Stets mit Bedacht
Der Glocke Ruf erklingt.
- Ein Zeichen,
Deine Pflicht beginnt.

(Czy w dzień, czy w noc, zawsze celowo rozbrzmiewa dzwonu głos. To znak, że rozpoczyna się twój obowiązek).

Jesienią 1942 roku zbudowano w południowej części placu apelowego, tuż obok Jourhausu, domek „specjalnego przeznaczenia”, oficjalnie zwany Sonderbau, a popularnie puff (dom publiczny).

Wczesną wiosną 1944 roku wybudowano nowe bloki mieszkalne. Podyktowane to było zapotrzebowaniem na coraz to nowe siły robocze dla rozrastającego się przemysłu zbrojeniowego. Część zabudowana obejmowała kilkadziesiąt baraków. Każdy barak (blok), długości 53 m i szerokości 8 m, podzielony był na dwie izby (tzw. sztuby): A i B oraz dwa mniejsze pomieszczenia (kapufy), umieszczone w środku, a przeznaczone: jeden dla blokowego, drugi dla pisarza.

Jesienią 1940 roku ukończono budowę umywalni i ustępów, które stały w poprzek baraków mieszkalnych. Każdy blok miał otrzymać własne umywalnie i ustępy. Niestety, tego więźniowie nie doczekali. Niektóre pomieszczenia higieny sanitarnej przebudowano na krematorium połączone z trupiarnią i prosektorium. Na miejscu innych zaprojektowano budowę łaźni obozowej, którą wykończono w późniejszych latach. Do tego czasu były tam tylko prowizorycznie rozmieszczone natryski z zimną

wodą, co szumnie nazywano „łaźnią”. Do niej pędzono, obojętnie czy śnieg, czy mróz, i trzymano przez dłuższy czas skostniałych z zimna więźniów.

Późną wiosną 1941 roku rozpoczęto budowę dwóch murowanych budynków, w których miała się mieścić łaźnia, pralnia, dezynfekcja itp. Prawdopodobnie brak materiałów budowlanych spowodował wstrzymanie robót. Jesienią 1943 roku oba budynki zostały wykończone, aby dać pomieszczenie więźniom zatrudnionym w przemyśle zbrojeniowym.

W czasie kiedy murowane bloki nie były jeszcze wykończone, rozstrzeliwano tu skazanych na śmierć więźniów. Później wyroki śmierci przez rozstrzelanie wykonywano tuż koło krematorium i miejsce to zostało ze wszystkich stron osłonięte.

3. ROZKŁAD DNIA

Życie w obozie rozpoczynał dzwonek o godzinie 5 rano. Przerażliwe *raus* podrywało wszystkich na nogi.

Pierwszą udrękę stanowiło „zrobienie łóżka”, co przy ustawicznej ciasnocie i ograniczonym czasie było nie lada sztuką. Trzy sienniki złożone jeden na drugim tworzyły graniastosłup przykrywany następnie kocami. Graniastosłupy-kostki musiały mieć jednakowy wygląd. Trzypiętrowe, drewniane prycze zaczęto wprowadzać pod koniec 1940 roku.

Z uwagi na małą liczbę kranów, umycie się zabierało wiele czasu. Mycie się stanowiło dla więźniów dodatkowe źródło udręki. Rozlewana przed umywalnią woda tworzyła na gliniastym gruncie kałuże i bajora. Starannie wyczyszczone buty grzęzły i oblepiały się warstwą błota, co znowu było powodem do szykan przy wejściu na blok po zupeł, jak również

przy rannej zbiórce do apelu. W drzwiach wejściowych stał blokowy i kontrolował wchodzących. Nieumytym odmawiał porannej zupy.

Po umyciu się rozdawano zupę. Pół litra na osobę. Wydawaniem jej zajmowali się sztabowi. Śniadanie, podobnie jak obiad, wydawano na dworze. Czasem robiono to w izbie, zależnie od humoru blokowego. Jeśli wydawano je w bloku, więzień po otrzymaniu porcji wychodził na ulicę, co miało stanowić gwarancję, że nie podejdzie do kotła dwa razy. Gdy kogoś złapano na braniu drugiej porcji, bito go w straszliwy sposób, a często nawet zabijano. Pomimo tych morderczych kar wypadki pobierania podwójnych porcji były na porządku dziennym.

Po śniadaniu rozpoczynało się mycie podłóg. Było to zadaniem niewielkiej grupki ludzi wybranych w celu utrzymania w bloku porządku. Do obowiązków ich należało zamiatanie i szorowanie podłogi oraz ścieranie kurzu na półkach i belkach.

Plaga mycia podłogi w obozie stawała się jakąś tragiczną obsesją. Myto ją codziennie, niekiedy dwa razy na dzień, zwłaszcza w dni słotne, gdy powracający na obiad więźniowie brudzili izbę. Jesienią i zimą podłoga nie wysychała całymi tygodniami, stawała się tylko z każdym dniem ciemniejsza – nikt nie silił się więc, aby ją umyć do czysta. Polewano ją po prostu wodą, a następnie co bardziej mokre miejsca wycierano ścierką. Na takiej mokrej podłodze rozkładało się wieczorem sienniki.

Na kilka minut przed wyruszeniem na plac apelowy (godz. 6.30) rozlegało się hasło do zbiórki. Więźniowie każdego bloku ustawiali się w szeregi i szli na plac apelowy. Przygotowanie do apelu kończyło się sprawdzeniem przez blokowych obecności swych ludzi oraz wyrównaniem szeregów wzdłuż i w głęb.

Apel przyjmował kierownik obozu, któremu Raportführer (starszy podoficer odpowiedzialny za porządek w obozie i jego stan ilościowy) meldował liczbę więźniów obecnych na apelu i liczbę zmarłych.

Raportführer dawał komendę: *Häftlinge, Mützen ab* (Więźniowie zdjąć czapki), energicznym krokiem podchodził do Lagerführera i meldował stany. Komenda: *Mützen auf* (Włożyć czapki) była znakiem, że apel zakończono. Tuż za tym rozkazem padało: *Arbeitskommando formieren!* (Formować komanda pracy).

Ustawianiem grup do pracy zajmowali się teraz kapo odpowiedzialnych komand.

Następował wymarsz do pracy. Przy bramie wyjściowej stał kierownik robót z grupą esesmanów, dowódców komand pracy. Każdej wyruszającej grupie przydzielano jednego esesmana jako dowódcę oraz eskortę. Po dojściu na miejsce pracy eskorta pełniła rolę posterunków. Obecny przy wymarszu był Lagerführer i Raportführer.

Liczbę wychodzących poza obóz więźniów skrupulatnie notowano w specjalnej księdze, którą prowadził podoficer dyżurny siedzący za okienkiem Jourhausu w bramie wyjściowej.

Kapo każdego komanda, maszerując na czele, dawał komendę: *Mützen ab, im Gleichschritt, marsch* (Czapki zdjąć, równym krokiem marsz) i podchodząc do bramy meldował podoficerowi dyżurnemu nazwę komanda i liczbę więźniów. Przechodzących piątkami liczono w bramie.

W południe, na dźwięk dzwonka, wszystkie komanda, z wyjątkiem pracujących daleko, wracały do obozu. Po przejściu bramy, na hasło „rozejść się”, każdy pędził na miejsce, gdzie jego blok zbierał się do apelu południowego, po którego skończeniu można było odmaszerować na obiad.

Obiad składał się z litra (rzadko kiedy pełnego) zupy, w początkowym okresie dość gęstej, zasypywanej jakąś kaszą. Ze spożyciem należało się śpieszyć, gdyż godzinna przerwa obiadowa obejmowała: apel, rozdawanie i spożycie jedzenia, umycie miski i ustawienie się z powrotem do pracy. O odpoczynku nie było co marzyć. Zaledwie zdążyło się umyć miskę, już rozlegał się dzwonek, po którym wszystkie komanda musiały natychmiast ustawić się na wymarsz do pracy.

Często, gdy apel się przedłużał, więźniowie nie mieli nawet czasu zjeść całej porcji. Trzeba było zostawić niedojedzoną zupę i pędzić na plac, tym bardziej, że na spóźniających się czekali między barakami blokowi i poganiali kijami.

Po południu z utęsknieniem wyczekiwało się znaku zakończenia robót.

Apel wieczorny trwał z reguły dłużej niż poprzednie, gdyż czekano, aż wszystkie komanda powrócą z pracy. Wymęczeni, głodni, wlokący się ostatkiem sił, podpierani przez mocniejszych kolegów, ciągnęli więźniowie noga za nogą. Na końcu niektórych komand niesiono zmarłych i zabitych przy pracy. Tych układano przy macierzystym bloku. Do apelu musieli „stanąć” wszyscy!

Truchlały serca, gdy kogoś brakowało. Widmo całonocnego stania na zimnie i o głodzie majaczyło przed oczyma. Nieobecnego szukano tak długo, dopóki go nie znaleziono. W tym czasie więźniowie czekali. Dopiero po odnalezieniu zbiega mógł się odbyć apel.

Po apelu Lagerführer wydawał jeszcze zarządzenia. Nikomu nie wolno było opuścić placu apelowego, dopóki nie padła komenda: *Blockweise abrücken* (Blokami odmaszerować). Wtedy dopiero więźniowie, w równych

szeregach jak na paradzie wojskowej, odchodzili. Najbardziej błahy powód: zły odmarsz z placu, źle wyrównane szeregi, nierównocześnie zdjęte czapki przy komendzie *Mützen ab* wystarczył, aby cały obóz ćwiczył to całymi godzinami w niedzielne przedpołudnie.

Dopiero po oczyszczeniu z błota butów można było wejść do baraku. Na stole przy wejściu leżał przygotowany chleb, na nim porcje kielbasy. Z wydawaniem czekano aż wszyscy zbiorą się na sali. Ustawionych trójkami liczono w celu uniknięcia pomyłki przy rozdawaniu. Po chleb podchodziło się trójkami. Pierwszy z trójki odbierał półtorakilogramowy bochenek i trzy plasterki kielbasy. Dwóch następnych trzymało się blisko niego, by nie stracić go z oczu i być obecnym przy podziale. Więźniowie zwracali szczególną uwagę, dokładając wszelkich starań, aby części były jak najrówniejsze. Do chleba dostawało się pół litra herbaty z jakichś ziółek.

Wieczorem dozwolona była pewna swoboda. Zaraz po kolacji można było rozkładać sienniki i przygotowywać się do snu. Większość skwapliwie korzystała z tego i po całodziennej ciężkiej pracy natychmiast szła spać.

Nie wszyscy jednak kładli się zaraz po kolacji. Jedni wychodzili odwiedzić kolegów zamieszkałych w innych barakach, drudzy wyruszali na polowanie za „dymkiem”, pozostali wreszcie, a tych było coraz więcej, zajmowali się gorliwie notowaniem przepisów kucharskich, omawianych szczegółowo w ciągu dnia przy pracy.

Rozmowy i lekturę receptur przerywał pierwszy dzwonek, który zwoływał wszystkich do bloku. Po nim nie wolno było już pokazywać się na ulicy. Pół godziny później, o godzinie 21, rozlegał się drugi dzwonek, sygnał gaszenia światła i bezwzględnej ciszy.

Budził i do snu układał dzwonek. Zaraz po dzwonku, gdy pogasły

światła, rozpoczynali swe nocne urzędowanie blokowi, kapo i ich pomocnicy. Pod rozmaitymi pozorami wyciągali z góry upatrzone ofiary, zapędzali do umywalni i topili w specjalnie do tego przeznaczonym dole. Ofiarą padali niewinni ludzie. Wystarczyło, że twarz ich nie podobała się panu i władcy – blokowemu. Zmarli „na atak serca”, jak wpisywano później w dowodzie zgonu.

4. KARTA PERSONALNA WIEŻNIA

W archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu znajduje się opatrzona numerem inwentaryzacyjnym 101125 i sygnaturą D-Mau-3a/28315 Häftlings-Personal-Karte dotycząca mojej osoby. W karcie tej, między innymi, są następujące zapisy o moim pobycie w obozie Gusen:

- 6.11.1943 zarejestrowany w Mauthausen jako więzień przybyły z Birkenau (Auschwitz-Birkenau),
- od 8.11.1943 do 18.12.1943 Kwarantanna (w Gusen I),
- od 10.01.1944 do 19.08.1944 jako Facharbeiter przydzielony do Arbeitskommando Rü Messerschmitt (Gusen I),
- od 19.08.1944 jako Automechaniker przydzielony do komanda Bergkristall (Gusen II, praca trwała do 2.05.1945, a 5.05.1945 obóz został wyzwolony przez armię amerykańską).

Objaśnienia:

- Kwarantanna: 2- lub 3-tygodniowy początkowy okres pobytu w obozie w wydzielonych barakach.
- Kommando (Komando): grupa robocza więźniów.

– Rü Messerschmitt: pełna nazwa Messerschmitt AG betriebene Rüstungsproduktion; produkowano tam między innymi zewnętrzne podzespoły do samolotów myśliwskich Me-109 i rakiet V2.

– Bergkristall: kryptonim podziemnej fabryki kadłubów do odrzutowych samolotów myśliwskich Messerschmitt Me-262, zlokalizowanej w miejscowości St. Georgen. Były to pierwsze na świecie samoloty o napędzie odrzutowym.

– Automechaniker: mój zawód w chwili aresztowania (mechanik samochodowy).

W nawiasach uzupełniające informacje Autora.

5. KWARANTANNA

Kwarantanna to czas pobytu w obozie bezpośrednio po przybyciu. W tym okresie różnymi metodami eliminowano spośród przybyłych więźniów chorych i niezdolnych do pracy.

Według Karty Personalnej Więźnia moja kwarantanna trwała urzędowo od 8.11.1943 do 18.12.1943 roku.

Dostałem się do obozu w okresie, kiedy ustało (na razie) bezmyślne szafowanie ludzkim życiem. III Rzesza potrzebowała taniej siły roboczej dla przemysłu zbrojeniowego. Obok obozu było już kilkanaście hal firmy Steyer Daimler-Puch, w których więźniowie pracowali przy produkcji części do broni maszynowej oraz hale naziemne i podziemne Zakładów Messerschmitt, w których również pracowali więźniowie. W pobliskim St. Georgen na początku 1944 roku rozpoczęto budowę podziemnej fabryki zbrojeniowej Zakładów Messerschmitt.

Oficjalnie władze obozowe zabroniły wszystkim kapo i blokowym bicia więźniów, ale w praktyce, mimo zakazów, nie mogli się ci sadyści pozbyć dotychczasowych nawyków. Nawrót do poprzednich praktyk nastąpił na przełomie lat 1944/1945, w miarę narastania frontowych niepowodzeń Niemców.

Ubranie moje, tak jak i innych więźniów, składało się z bielizny, spodni, marynarki, okrągłej czapki i trepów, to jest „butów”, mających tylko drewnianą podeszwę i tak zwaną „kapkę” na przednią część stopy. Były też buty całe z drewna – saboty lub holenderki.

W latach powojennych był czas, kiedy drewniaki stały się w Polsce modnym obuwem. U mnie jednak ich widok, a szczególnie stukot, natychmiast przywoływał wspomnienia obozowych męczarni.

Włosy na głowie więźnia były dość często strzyżone, a od czoła do karku na szerokość maszyny była wygolona ścieżka zwana sztrajfą.

Na przegubie lewej ręki nosiliśmy przywiązany drutem kawałek blaszki z wybitym numerem obozowym, służącym do identyfikacji więźnia. Z czasem rozwinęło się wytwórstwo tych numerków. Im bardziej „zamożny” był więzień, tym ładniejsza była bransoletka i oprawa numeru. Udało mi się zorganizować kawałek skórzanego paseczka, do którego „dokupiłem” za papierosy aluminiową blaszkę z wrytym numerem. Dodatkowo numer więźnia był wypisany na kawałku materiału przyшитym w lewej górnej części marynarki. Obok numeru czerwony trójkąt wierzchołkiem do dołu i litera „P”, co oznaczało, że jestem więźniem politycznym – Polakiem.

W KL Mauthausen otrzymałem numer 4491, który w styczniu 1944 roku w KL Gusen I został zastąpiony numerem 45332.

W czasie kwarantanny wraz z innymi więźniami byłem zatrudniony przy różnych pracach związanych między innymi z rozbudową obozu. Pracowałem też w kamieniołomach, gdzie nosiłem kamienie do obozu lub do młyna, który rozkruszał je na kawałki różnej wielkości.

Noszenie kamieni to była cała udręka obliczona na wyniszczenie ludzi. Szło się, a właściwie to biegło, bo kapo ciągle popędzali kijami. Długi szereg ludzi rozciągał się od miejsca łupania kamieni w górnych partiach kamieniołomów aż do miejsca składowania kamieni, to jest do młyna lub obozu. Słabsi, którym dozorczy umyślnie podstawiali nogi, upadali, a niesiony kamień przygniatał ich. Takich bardzo często dobijano kijami.

Kamień musiał być odpowiedniej wielkości, a tych, co wybierali mniejsze bito i zmuszano do wzięcia większego. Z czasem sprytniejsi zaczęli stosować swoistą technikę noszenia kamieni. Wybierało się kamienie płaskie, które wyglądały na duże. Przed nadzorcą umiejętnie ustawiało się kamień i pozorowało uginanie się pod jego ciężarem.

Nadszedł czas Bożego Narodzenia. Blokowy urządził nam w Wigilię tego święta kąpiel w zimnej wodzie mówiąc, że musimy być na Święta czysti. Zostaliśmy nago wpędzeni pod wiatę z natryskami. Uciekających spod lodowatej wody blokowy polewał przy pomocy gumowego węża. Zziębnięci i mokrzy przybiegliśmy do baraku, aby się ubrać i nieco ogrzać. Co było dalej, nie pamiętam – biała plama w mojej pamięci!

Takich „białych plam pamięciowych” mam więcej. Jednocześnie bardzo dobrze pamiętam inne wydarzenia obozowe. Specjaliści zajmujący się tego rodzaju amnezją są zdania, że została ona wywołana brakiem pewnych składników odżywczych, stymulujących pracę kory mózgowej. Może to prawda?

Później, już po wyzwoleniu dowiedziałem się od kolegów, że pod nieobecność blokowego odbyła się w naszym baraku wigilijna miniszopka zorganizowana przez jednego z więźniów. Między innymi na melodię *Przybieżeli do Betlejem* zaśpiewano:

Przybieżeli do obozu górami
Tysiąc gołych wystukując trepami
Wśród skał na wysokościach
Do Gusen przybyli

Jest to przyczynek do tzw. „kalesonowego zugangu”, w którym ja byłem również.

6. ARBEITSKOMMANDO RÜ MESSERSCHMITT

Od stycznia do sierpnia 1944 roku byłem włączony do komanda więźniów zatrudnionych w Zakładach Messerschmitt. Początkowo pracowałem w tzw. kolumnie transportowej, gdzie w prymitywny sposób przesuwalismy do hal produkcyjnych maszyny i urządzenia do produkcji elementów kadłubów i płatów do samolotów Messerschmitt M-109 i rakiet V2. Następnie przydzielono mnie do montażu segmentów kadłubów w oddziale produkcyjnym w tak zwanej sztolni, tj. tunelu wykonanym w zboczu góry z piaskowca.

Znalazłem się w grupie produkcyjnej złożonej z Francuzów i mimo trudności w porozumieniu się szybko staliśmy się sobie bliscy – niedola i bieda zbliżają ludzi. Ja mówiłem do nich po polsku, a oni do mnie

po francusku, w ten sposób powstał zasób słów niezbędnych do porozumiewania się.

A oto pamiętne wydarzenia z okresu pracy w tym komandzie.

7. LEKCJA POKAZOWA

Było to w początkowym okresie mojej pracy w komandzie. Po transportowaniu za pomocą wspólnie ciągniętego wózka wyznaczonej ilości maszyn, mieliśmy chwilę oddechu.

Wykorzystując to szedłem przez długą na kilkadziesiąt metrów halę, w której majstrowie cywilni ustawiali maszyny. Zmierzałem w kierunku wysokiego pieca w końcu hali z zamiarem dyskretnego wyjęcia zeń naniżanych na drut, „zorganizowanych” uprzednio ziemniaków.

Po drodze musiałem przejść obok stolika, za którym siedziało dwóch nadzorujących pracę esesmanów. Przed tymi „panami” należało przechodzić marszowym krokiem z odkrytą głową i rękoma przyłożonymi do bioder. Tak też postąpiłem. Po ominięciu stolika zostałem jednak zawrócony do ponownego przejścia z uwagą, że poprzednie było nieprawidłowe.

Przechodząc powtórnie obok stolika, potknąłem się o celowo w tym momencie wysuniętą nogę jednego z esesmanów. Padło sakramentalne *Halt!*, po czym ten, który wysunął nogę, podszedł do mnie i z rozmachem uderzył mnie w twarz. Cios był silny. Zachwiałem się mocno, ale nie upadłem. I to był mój błąd! Natychmiast wstał od stolika drugi i naciągając rękawiczki rzekł do poprzednika: „Nie umiesz bić! Pokażę ci jak się to robi!” Uderzenie otwartą dłońią w twarz było piorunujące! Padłem jak długi na podłogę i ledwo mogłem powstać, a esesmani przestali się mną

interesować. Głupio, ale w tym czasie pomyślałem, że ziemniaki na pewno się już spaliły – głód był silniejszy od strachu o życie! Z tej lekcji „pokory” wyciągnąłem naukę dotyczącą przyszłych tego rodzaju przypadków.

Dowiedziałem się później w obozie, że esesmani dla spotęgowania siły uderzenia wkładali do rękawiczek metalowe sztabki.

Po kilku miesiącach, już w Gusen II, czułem jak zaczyna się tworzyć od wnętrza jamy ustnej ropień, który następnie uzewnętrzniał się na lewej części podbródka w postaci krwawej rany. Walczyłem z tą raną na swój sposób, między innymi zaklejając to miejsce papierem, aby tylko nie dostać się do rewiru, gdyż w tamtym czasie to był wyrok śmierci.

Pierwszy prawdziwie medyczny zabieg tej rany został przeprowadzony dopiero w maju 1945 roku w przychodni lekarskiej zbiorczego obozu dla emigrantów w Norymberdze, do którego wraz z innymi Polakami po wyzwoleniu zostaliśmy przewiezieni amerykańskimi samochodami. Rana się zabiłiła, ale do dnia dzisiejszego pozostała szrama jako pamiątka po tamtym zdarzeniu.

8. ŚMIERĆ ZA PRZEKONANIA RELIGIJNE

Na oddziale produkcyjnym w sztolni, w naszej grupie roboczej był dość młody więzień, któremu wiara religijna nie pozwalała pracować przy wytwarzaniu narzędzi śmierci. Nad numerem na marynarce miał fioletowy trójkąt wierzchołkiem do dołu, co oznaczało, że był to tzw. Bibelforscher (badacz Pisma Świętego), zesłany do obozu za odmowę służenia w wojsku, stąd wnioskuję, że prawdopodobnie był Niemcem.

Jakiś czas udawało mu się nie pracować. Zauważył go nadzorujący

nasza grupę oficer SS. Wezwał go do siebie i zaczął z nim rozmawiać.

Pracowałem w pobliżu. O dziwo, ten żołnierz SS tłumaczył więźniowi, że nawet obierając w kuchni kartofle dla pracujących więźniów będzie pośrednio włączony w proces wytwarzania samolotów. Odpowiedział, że tak, ale nie będzie tego widział. I na tym się skończyło. Ten esesman przestał zwracać na niego uwagę i udawał, że go nie widzi.

Po kilku dniach przyszła inna zmiana wartowników. Nowy oficer SS natychmiast zauważył niepracującego. Rozmawiał z nim krótko, po czym wezwał stojącego na zewnątrz wartownika, rozkazał wyprowadzić więźnia i rozstrzelać. Skazany wyszedł spokojnie, tylko raz się do nas odwrócił na pożegnanie. Huk wystrzałów był dowodem wykonania rozkazu. Do końca zmiany pracowaliśmy w głuchym milczeniu.

Był jednym z wielu, którzy w obozie zginęli za wiarę.

9. RÓŻANIEC W OBRONIE DUCHA I LUDZKIEJ GODNOŚCI

Pierwszy października to dzień moich urodzin. Każdego roku w tym dniu w kościele św. Anny w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu jest odprawiana Msza Święta połączona z odmawianiem różańca, w której biorą udział byli więźniowie niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych.

Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie to, że kostki tego różańca, zostały wykonane przez więźniów w Gusen. Kostki różańca to swobodnego rodzaju urny. W każdej z nich znajdują się prochy zamordowanych w Gusen więźniów.

A oto streszczona historia powstania różańca obozowego według spisanych relacji byłych więźniów obozu w Gusen. Relacje te nie są spójne – stąd opisuję tylko te wydarzenia, które według mnie mogły zaistnieć w ówczesnych warunkach obozowych.

Zziębnięci i przemoczeni więźniowie w jesienny listopadowy dzień wracali do obozu po ciężkiej i morderczej pracy w kamieniołomach. Tego dnia esesmani rewidowali więźniów, a u kogo znaleźli „serdak” zrobiony z worka po cemencie, bili niemiłosiernie. U jednego z więźniów, Polaka, znaleziono modlitewny różaniec. Więźnia katowano i zmuszono biciem do połknięcia ziarenek różańca. Śmiertelnie pobity stracił życie.

To wydarzenie stało się impulsem do obrony przed duchowym załamaniem dla grupy więźniów, którzy zrzeszeni w obozowej organizacji ruchu oporu, dali początek powstania tzw. „Żywego Różańca”. Umówiono się, że Tajemnice Różańcowe będą odmawiane (oczywiście w myśli) m.in. podczas wieczornego apelu więźniów. Cytuję słowa więźnia, który był jednym z inicjatorów tego przedsięwzięcia: „Świadomość, że w jednej chwili setki więźniów wieczorem, podczas apelu łączą się duchowo w myśli, że nikt nie jest sam, że jest nas masa połączona jedną ideą braterstwa, przyjaźni i wspólnego celu, dodawała nam siły i wiary w przetrwanie”.

Do grup „Żywego Różańca” należeli ludzie różnych zawodów i wykształcenia, niektórzy z nich pełnili pewne funkcje obozowe. Umożliwiło to wzajemne wspieranie się i niesienie pomocy innym.

Duchowym przewodnikiem był ksiądz, więzień obozu.

Wśród tych więźniów zrodziła się myśl, by prochy pomordowanych w Gusen Polaków przewieźć do kraju w małych, granitowych sześciennych

kostkach. Powstały kostki – urny, które dla zamaskowania były oznakowane jak kostki do gry.

W końcu 1944 roku pomysł został rozszerzony. Postanowiono wykonać z kostek cały różaniec w 3 częściach. Zrobione już kostki granitowe miały stanowić część radosną. Na część bolesną miano użyć drewna wydartego z obozowej szubienicy. Na część chwalebną przeznaczono odłamki przezroczystego plastiku z amerykańskich samolotów strąconych nad Gusen.

W kostkach wykonanych z kamienia gusenowskich kamieniołomów umieszczono prochy dwu więźniów, członków organizacji, którzy zostali zgładzeni 22 kwietnia 1945 tj. na dwa tygodnie przed wyzwoleniem obozu.

Natomiast w kostkach drewnianych – prochy nieznanym więźniów wzięte z usypiska obok krematorium.

W kostkach z plastiku prochy amerykańskich lotników zamordowanych przez esesmanów na oczach więźniów w momencie, gdy na spadochronach zbliżali się do ziemi.

Dla upamiętnienia martyrologii więźniów, gusenowskie kostki „Żywego Różańca” zostały zawieszone: w klasztorze na Jasnej Górze w 1960 roku – część radosna, granitowe kostki oprawione w srebro, w kościele św. Anny w Warszawie w 1979 roku – część bolesna, w katedrze wrocławskiej w 1980 roku – część chwalebna. Jako całość tworzą swoiste obozowe wotum.

W Gusen, w warunkach zniewolenia i zagłady ludzi, dla podtrzymania ducha i ludzkiej godności oraz chęci walki o przetrwanie, były organizowane przez więźniów m.in. spotkania literackie, koncerty muzyczne, rozgrywki szachowe, mecze piłki nożnej, pisano wiersze, komponowano

pieśni, rysowano i malowano obrazy. Więźniowie Polacy wyróżniali się swymi działaniami i aktywnością wśród innych narodowości i wielu zawdzięcza im przetrwanie obozowej gehenny.

10. REWIR

W pierwszej połowie 1944 roku (dokładnej daty nie pamiętam) na łydce mojej lewej nogi utworzyła się tak zwana flegmona.

Niedostateczne odżywianie i zupełny brak witamin powodowały nabrzmienie kończyn. Uciśnięcie palcem spuchniętej części ciała pozostawiało dołek, co wskazywało na obecność wody. Lada skaleczenie, a nawet zadrażnienie opuchniętej nogi – co przy chodzeniu w drewnianych chodakach było prawie nieuniknione – powodowało jeszcze większą opuchliznę o ciemnoróżowym zabarwieniu i szklistym połysku. Z rozszerzającej się szybko ranki sączyła się wodnista, żółtawa ciecz. Brak lekarstw i opatrunków uniemożliwiał leczenie, zwłaszcza, że rewir (obozowy szpital) przyjmował dopiero wtedy, gdy rana już gniła i śmierdziała.

Do dnia dzisiejszego mam bliznę po tym schorzeniu. Nie mogłem chodzić i zmuszony byłem zgłosić się na rewir. Była to decyzja samobójcza, ale nie miałem innego wyjścia. Miałem do wyboru pozostać na bloku i zginąć jak „muzułman” lub zaryzykować, że będę miał szczęście i na rewirze wyleczę się.

Rewir miał wśród więźniów ustaloną opinię – mało kto z niego wracał na blok. Trzeba było przejść przez selekcję, aby dostać się na rewir.

Pierwszym, który kwalifikował czy więźnia w ogóle dopuścić przed lekarza, był pisarz blokowy. Od niego przede wszystkim zależało

zgłoszenie chorego na sporządzaną każdego wieczoru listę. Pisarz mógł odmówić zapisania z takich czy innych względów, czasem bez podania przyczyny.

Drugim był blokowy. Wieczorem, na krótko przed dzwonkiem, dokonywał przeglądu chorych. Zapisanych na rewir wywoływał na środek sali i każdego po kolei wypytywał o rodzaj choroby. Więźniów źle notowanych na bloku nie pozwalał wpisywać na listę, twierdząc, że tylko lenistwo skłania ich do „odpoczynku” na rewirze.

Kandydaci musieli umyć się, dać się ostrzyć i zgolić wszelkie owłosienie na ciele.

Bardzo często przeglądu ich dokonywał kierownik obozu. Przy tej kontroli odpadało znowu wielu, którzy zdaniem jego byli „całkiem zdrowi”. Tych prowadzono natychmiast do pracy – do kamieniołomów.

Więźniowie zgłaszający się do lekarza byli naprawdę chorzy. Któż dobrowolnie pchałby się w warunki nieodbiegające, a dla niektórych stokroć gorsze od tych, jakie panowały na bloku? Tylko w ostateczności szukano opieki „lekarskiej”.

Po przeglądzie chorych odprowadzano na rewir. Wlókł się ten pochód jutrzejszych trupów ulicami obozu, popychany przez przysłanych sanitariuszy. Popuchnięte do rozmiarów konewki nogi utrudniały marsz. Wykrzywione bólem twarze, zaciśnięte usta, łzy w oczach i głośnie jęki świadczyły o męce, jaką przeżywali.

Przed rewirem jeszcze jeden przegląd. Na ulicy. Obojętnie czy mróz, czy deszcz, wszyscy rozbierali się do naga. Przeglądu czystości dokonywał sam kapo rewiru.

Przy panującej biegunce, chorobie, która w zastraszający sposób

szerzyła się wśród więźniów, zdarzało się, że chory nie mógł wytrzymać i narobił w spodnie. Nie mając sposobności umyć się przychodził w takim stanie do rewiru. Wtedy prowadziło się chorych do kąpieli. Wylewano wiadro zimnej wody na chorego i szczotką na drążku szorowano całe ciało. Po umyciu chory dygocąc z zimna i słaniając się na nogach, mógł wejść do baraku i czekać na lekarza.

Pobieżnym przeglądem chorych i określeniem „na oko” cięższych przypadków wymagających leczenia na rewirze zajmował się lekarz. Ludzie, których uznał za zdrowych, po otrzymaniu w najlepszym przypadku aspiryny, musieli wracać do pracy. Czasami lekarz pobieżnie badał kogoś, kto uskarżał się na dolegliwości wewnętrzne. W takich wypadkach ordynował jakieś proszki i pracę na świeżym powietrzu: najlepsze lekarstwo na „wymaginowane bóle”. Dalsze czynności lekarskie wykonywał kapo rewiru.

Chodziło o to, aby chorzy nie zajmowali zbyt długo miejsca na rewirze. Sposobów na to było wiele. Od uśmiercania zwykłym biciem, do zastrzyku benzyny lub wody utlenionej w aortę.

Chorzy, którzy na skutek biegunki zanieczyszczali sienniki, leżeli na gołej podłodze, nago, okryci podartymi brudnymi kocami. Dogorywali tam w strasliwym zaduchu – wykreśleni już z listy żywych.

11. SPRAWIEDLIWOŚĆ W OKOWACH SUMIENIA

Przeszedłem całą procedurę zakwalifikowania się na rewir z wynikiem „pozytywnym”. Nagi, tak jak i inni, z numerem wypisanym na pierśsiach dużymi cyframi zostałem przyjęty do obozowego szpitala.

Wyszedłem z niego żywy i względnie podleczoney. Stało to się tak:

Jednym ze sztabowych na rewirze był w tym czasie Polak w średnim wieku (nazwiska nie pamiętam) o dość sympatycznym wyglądzie. Przyjmując mnie zapytał, kim jestem i skąd pochodzę. Powiedziałem, że Polakiem i z Warszawy.

– A z jakiej dzielnicy?

– Z Pragi – odpowiedziałem.

– No to powinienes znać cukiernię moich rodziców na ulicy Ząbkowskiej przy Targowej.

– Tak znałem – chodziłem tam po ciastka.

Dalsza rozmowa upewniła go, że rzeczywiście jestem z Pragi. Dzięki temu otrzymałem samodzielne dolne miejsce na pryczy koło piecyka i ubranie. Chorzy na rewirze leżeli nago po dwóch na każdym piętrze pryczy.

Otrzymywałem nieokrojone posiłki. Sztabowy „polecił” mnie więźniowi, który pełnił funkcję pomocnika lekarza. Ten rzeczywiście zajął się moim schorzeniem.

Bołaca noga nie pozwalała mi spać w nocy, ale udawałem, że jestem mocno pogrążony we śnie.

Sztubowy nocami siadał przy piecyku w pobliżu mojej pryczy z trzonkiem od kilofa. Widząc jak któryś z chorych, czepiając się pryczy, wlecze się do ubikacji – umywalni, podchodził cicho do niego i jednym uderzeniem trzonka w potylicę powalał na podłogę.

Następnie „pomocnicy” sztabowego szybko wlekli nieszczęśnika do umywalni. Tam, jeżeli jeszcze dawał oznaki życia, wieszali na kłamce od drzwi, żeby szybciej skonał. Nieżywych układano w kątach umywalni.

Powtarzało się to nieraz kilka razy w ciągu nocy. Tego się nie da wymazać z pamięci!

Dzięki pomocnikowi lekarza i warunkom bytu, rana zaczęła się goić i poczyniłem „starania”, abym mógł opuścić to, co nazywało się szpitalem. Z dwojga złego wolałem życie obozowe niż dalszy pobyt wśród chorych – żywych trupów maltretowanych i zabijanych, między innymi i przez sztabowego.

Jest rok 1946. Na terenach rekreacyjnych w Warszawie na Pradze przy Porcie Praskim (przed wojną tzw. Zakład Higieny) zauważyłem grającego w siatkówkę „sztabowego”. Przyglądałem mu się intensywnie. Na krótki czas nasze spojrzenia skrzyżowały się. On grał dalej, a ja stałem w oddali i biłem się z własnym sumieniem.

Co robić?

Uratował mnie od śmierci!

Ale zabił tylu chorych więźniów!

A może to nie on!?

W końcu postanowiłem jeszcze raz dokładnie mu się przypatrzyć, ale już bez emocji, lecz mecz się skończył i grający rozeszli się. Przychodziłem tam jeszcze wielokrotnie, ale nie spotkałem go więcej ani tam, ani na Pradze, choć starałem się go odnaleźć.

Często zastanawiam się, jak powinienem postąpić, gdybym go odnalazł i upewnił się, że to on. Nurtujące mnie sprzeczne myśli nie pozwoliły na wyrobienie zdania w sprawie podjęcia decyzji. I tak już pozostało.

Może to i lepiej. Jak bym nie postąpił – w imię sprawiedliwości czy własnej wdzięczności – to sumienie i tak nie dawałoby mi spokoju.

Osąd w tej sprawie należy do tych, którzy będą czytać te wspomnienia.

12. WSZY I PCHŁY

Tak jak na Pawiaku główną plagą były pluskwy, tak w Gusen pchły i wszy.

Brak mydła i ciepłej wody. Przepełnione baraki. Bielizna zmieniana co kilka miesięcy. W tych warunkach szczególnie wszy rozmnażały się tak szybko, że nie było możliwości ustrzec się przed nimi. Mieli je wszyscy i zakradały się wszędzie. Zagnieżdżone w szwach bielizny i kocach wyłaziły całymi rojami, szczególnie w nocy kásając śpiących. Od ukąszeń wszy powstawały świerzbiące mikroranki, które pod wpływem drapania i zanieczyszczeń zaczynały ropieć. Na to nakładały się jeszcze koliste plamki od ukąszeń pcheł.

Krwawe plamki od ukąszeń miałem na całym ciele. Przeciwno pchłom ciało nacieraliśmy na noc jakimś mazidłem możliwym do „zorganizowania”, np. naftą ukradzioną w zakładach Steyera lub Messerschmitta. Pot, brud i nafta tworzyły mieszanekę zapachową, która trochę pomagała w zwalczaniu pcheł.

Wszy były jednak bardziej odporne na te „pachnidła”. Do zwalczania ich, a była to syzyfowa praca, stosowaliśmy dwie metody.

Pierwsza to bicie metodą „paznokciową” przed położeniem się na pryczy. Każdego wieczoru zabijałem ich po kilkadziesiąt sztuk.

Druga to metoda „szalikowa”. Z kawałka upranej do czysta tkaniny robiłem coś w rodzaju szalika i zakładałem go na szyję pod koszulę tak, że jeden koniec opadał na plecy, a drugi na piersi. Po kilku godzinach delikatnie zdejmowało się ten szalik, w którym roiło się od wszy, które strzepywało się dyskretnie na ziemię, po czym szalik znów wędrował na szyję.

Napisałem „dyskretnie”, gdyż przyłapanie na tej czynności kończyło się w najlepszym wypadku biciem, które nie wszyscy mogli wytrzymać.

Władze obozowe w celu tępienia plagi wszy i pcheł urządziły gazowanie bloków tzw. „Vergasungi”. Przeżyłem taki „Vergasung”, który był przeprowadzony w styczniu lub lutym 1944 roku (dokładnej daty nie pamiętam).

Baraki przeznaczone do gazowania zostały uszczelnione, wewnątrz luźno porozwieszano koce. Na pryzkach więźniowie ułożyli swoje ubrania i całkiem nago zostali wcześniej rano wypędzeni na plac apelowy. Przy przejmującym chłódzie poranka wszyscy dygotali z zimna i skupiali się w większe gromady. Mocno przytuleni jedni do drugich ogrzewali się ciepłem własnych ciał.

Teraz dopiero można było zaobserwować straszliwe spustoszenie, jakie poczyniło na ludziach życie obozowe. Nagie szkielety obciążnięte skórą, zwiotczałą i łuszczącą się, pogryzioną przez wszy i pchły nie przypominały już ludzi. Wystające kości kolan, bioder, sterczące na wierzchu żebra i zapadnięte brzuchy mówiły same za siebie.

Ludzie zbijali się w duże grupy tak, że ściśle przylegali do siebie. Najgorzej mieli ci, co stali na zewnątrz. Stąd była to ciągła przepychanka, bo ci z zewnątrz chcieli się dostać do środka. Natomiast stojący w środku trzymali się, żeby nie pozwolić się wypchnąć na zewnątrz grupy. Ta kotłownina trwała przez cały czas, aż do porannego apelu, na którym trzeba było stać nieruchomo w szeregach przez dłuższy czas.

Po apelu pozwolono nam wejść do bloku, który nie był przewidziany do gazowania. To wejście miało dramatyczny przebieg. Wszyscy rzucili się do otwartych drzwi, przepychając się wzajemnie i tłocząc. Wielu upadło

i zostało stratowanych. W bloku oprócz gołych pryczy były tylko koce, których dla wszystkich nie starczyło. Okropny ścisk, smród i wzajemne wydzieranie koców.

Po południu znów apel. Koców nie pozwolono zabrać. Staliśmy nieruchomo nadzy na mrozie, a umarli leżeli pod blokiem z wypisanymi na piersiach numerami. Widziałem jak słabsi upadali, aby więcej się nie podnieść. Po apelu przy wejściu do bloku ta sama sceneria, co poprzednio, po czym następowało wydawanie obiadu.

Wokół kotłów z jedzeniem panował ścisk i bałagan. Nie pomagały uderzenia pałkami. Był to szturm na kotły w nadziei, że w tym bałaganie uda się jakoś „zorganizować” dodatkową miskę zupy.

Później nastąpiła dezynfekcja przez rozpylanie na wszystkie części ciała smrodliwych substancji. Następnie kąpiel pod natryskami z zimną wodą, która nie zmywała cuchnących płynów. Dopiero po kąpeli pozwolono wejść na własny, uprzednio gazowany blok i jeżeli to się udało, odszukać własne ubranie. Wyziewy gazu były tak silne, że przyprawiały o zawroty głowy.

Gazowanie na pewien czas dawało efekty, ale nie na długo – znów pojawiały się wszy i pchły z nowo przybyłymi i w niedostatecznie czysto upranej bieliźnie.

Wprowadzone zostały nazwane przez więźniów „lojzkontrolle”. Polegały one na tym, że codziennie przed kolacją dokonywane były przeglądy bielizny, które w praktyce ograniczały się do przeszukiwania koszul. Przed podejściem do kontroli, długo oglądaliśmy każdy kawałek koszuli, a mimo tego kontrolujący znajdował u niektórych wszy. Więźniów, u których znaleziono wszy, bito lub odbierano im za karę chleb, a czasami jedno

i drugie w zależności od tego, kto kontrolował.

Dla uniknięcia takich szykan uciekano się do najrozmaitszych wybiegów. Na przykład jedni drugim pożyczali czystsze koszule, które przeszły już przez kontrolę. Powstał nawet proceder pożyczania koszul za porcję chleba lub dodatków do niego, jakimi były plasterek wędliny lub porcja margaryny. Zawszeni chętnie płacili ten haracz, byle tylko uniknąć szykan i bicia.

Wszy i pchły prześladowały wszystkich, aż do końca pobytu w obozie.

13. PROMINENCI

Do prowadzenia „gospodarstwa” obozowego, jego administracji i obsługi potrzebni byli wyspecjalizowani ludzie: pisarze, tłumacze, magazynierzy, kucharze, sanitariusze itp. Tych brakowało wśród niemieckich więźniów.

Wyszukiwano innych mówiących po niemiecku, wśród których znalazło się wielu Polaków. Stąd z więźniów wyodrębniła się dość liczna grupa, którą w znacznym stopniu wyjęto spod rygorów obozowego reżimu i zapewniono bardziej znośne warunki pobytu w obozie.

Powstała specyficzna elita obozowa, w jakimś stopniu „prominencka”, co zapoczątkowało proces podziału więźniów pracujących na „dobrych” i „lepszych” komandach i na zwykłych więźniów pracujących w „ciężkich” komandach oraz na „muzułmanów” stających się stopniowo niezdolnymi do pracy, a tym samym skazanych na zgładzenie.

Do prominentów należeli blokowi, kapo, sztabowi, pisarze,

pracownicy kuchni dla więźniów i esesmanów oraz inni piastujący co ważniejsze stanowiska w obozie lub w koszarach esesmańskich. Przeważnie byli to Niemcy, a z innych narodowości przeważali Polacy i Hiszpanie. Niektórzy nie cofali się przed żadną podłością i wysługiwaniem się esesmanom, aby utrzymać się na tych funkcjach. Jednak nie wszyscy byli tacy. Kroniki obozowe wymieniają bardzo wielu prominentów, którzy wykorzystywali swoje możliwości i przywileje pomagając i ratując życie wielu więźniów.

Prominenci wyróżniali się wyglądem zewnętrznym. Ich pasiaki były czyste i dobrze skrojone. Sylwetka i twarz mówiły o dobrym odżywianiu. Mieli swoich osobistych „szwungów”, którzy przyrządzali im specjalne posiłki, dbali o odzież i pomieszczenie. Czasami „szwung” bardziej zamożnego „pana” miał swoich pomocników.

W czasie, kiedy dostałem się do Gusen, zauważyłem, że „szwungami” byli przeważnie chłopcy o dość przyjemnym i eleganckim wyglądzie. Później okazało się, że ci chłopcy świadczyli usługi seksualne swoim panom. Ulegali pod wpływem strachu, gróźb i szykan lub też pociągały ich obietnice lepszego traktowania i odżywiania. Można było ich poznać na pierwszy rzut oka. Zawsze czysto ubrani. Czuli się pewnie i dawali to odczuć innym. Większość tych chłopców szybko się demoralizowała. Zboczenie coraz bardziej wypaczało ich charakter. Niejeden przyzwyczajony chłopak wychodził z obozu jako człowiek zupełnie zdeprawowany, ulegający swym instynktom. Przywykli do innego życia, nie umieli już nagiąć się do normalnego trybu, chwyтали się więc przeróżnych sposobów dla zapewnienia sobie dodatkowego jedzenia.

Niektórzy, mimo swego młodego wieku, zostawali nawet kapo.

Nadużywając swej władzy, mścili się teraz na tych, którzy napiętnowali ich na całe życie. W aspekcie życia społecznego chłopcy ci stanowili element nieuznający nad sobą żadnej władzy, żadnych praw, prócz własnej zachcianki.

Zatrzymałem się nad tym patologicznym zjawiskiem, gdyż źródłem jego były warunki życia obozowego nakładające się na niedojrzałe jeszcze i podatne charaktery tych chłopców.

Jednym z nich był harcerz z organizacji Szarych Szeregów, z którym jakiś czas wspólnie przebywaliśmy w celi kwarantanny Pawiaka. Wiem, że i on doczekał wolności. Mam nadzieję, że postarał się dalej żyć normalnie.

14. PUFF

W celu zapobieżenia szerzącemu się coraz bardziej homoseksualizmowi, tuż przy drutach okalających obóz, w końcu 1942 roku został wybudowany domek o wyglądzie willi weekendowej z przeznaczeniem na dom publiczny, zwany „puffem”.

Jak opowiadali starzy więźniowie budowa domu publicznego w obozie, gdzie wymordowano tylu ludzi budziła wśród nich niewypowiedziany wstręt i oburzenie, ale to już minęło. Obecnie pod oknami „puffu” było ciągle tłoczno. Z usług panienek na zasadzie specjalnego regulaminu korzystali wyłącznie prominenci i „arystokracja paczkowa” – Niemcy i Polacy. Później na korzystanie z „puffu” pozwolenie otrzymali również Hiszpanie.

Istnienie domu publicznego miało położyć kres szerzącemu się homoseksualizmowi. Tylko znikoma część prominentów zerwała ze swymi

perwersyjnymi nałogami, pozostali nadal uprawiali ten proceder.

Przed końcem wojny przybytek ten przestał funkcjonować, jego pomieszczenia stały się więzieniem dla zbuntowanej kompanii SS, składającej się z Ukraińców, których później wywieziono i prawdopodobnie rozstrzelano.

15. KOCHANA MAMO! JESTEM ZDRÓW...

Dzięki mojej Rodzinie przetrwała do dziś część mojej korespondencji obozowej, obejmującej czas od grudnia 1943 do czerwca 1944 roku.

Do Gusen I dostałem się 8 listopada 1943 roku. Po odbyciu kwarantanny, wysłana została z urzędu na adres Matki „Postkarta” z datą stempla pocztowego 20.12.1943, w której znajdowało się pouczenie o korespondencji i przesyłaniu paczek.

Pierwszy zachowany mój list do Matki pochodzi ze stycznia 1944 roku:

Kochana Mamo, jestem zdrow i spodziewam się od Was tego samego. Dziękuję Wam za list, paczkę, papierosy i tytoń i proszę o dalsze. Kochana Mamo, z bielizny oraz rzeczy nic nie potrzebuję, pieniądze potrzebowałbym. Jeszcze raz dziękuję za paczkę i pozdrawiam Cię,
Twój syn Stasiek.

Dalsze zachowane listy mają podobną treść. Rodzina nie otrzymałaby listu, a mnie wymierzono by regulaminową karę 25 batów i zabroniono wysyłania listów przez kilka miesięcy, gdyby było inaczej. Ludzie

po drugiej stronie obozowych murów, nie mogli się dowiedzieć, co się tutaj dzieje.

Napisanie listu to była cała subiekcja. Najpierw na skrawku papieru pisało się list po polsku. Później należało znaleźć kogoś, kto napisałby go po niemiecku na specjalnym druku wydawanym tylko jeden raz w miesiącu.

Polscy „pisarze” wiedzieli, co ma być w liście i pisali po swojemu tak, aby list dotarł do adresata, to jest do osób oczekujących na wiadomość od tego, który jest w obozie i jeszcze żyje.

Listy podlegały wielokrotnej kontroli i cenzurze. Mimo to udawało się przemycić w nich ważne informacje. Na przykład w cytowanym liście napisałem, że dziękuję za list, paczkę, papierosy i tytoń i proszę o dalsze. Prawda była taka, że żadnego listu i paczki nie otrzymałem. Dziękowałem za papierosy i tytoń, gdyż chciałem, żeby mi je przysłali, bo była to obozowa waluta.

W liście z marca 1944 roku napisałem: „Jest mi przykro, że Stefan nie żyje”. Była to wiadomość o tym, że dowiedziałem się o śmierci Stefana, który zmarł w obozie – był na innym bloku. Byliśmy razem aresztowani, razem siedzieliśmy na Pawiaku i razem wywieziono nas do Auschwitz, a potem do Gusen. Myśleliśmy o wolności, stało się jednak inaczej.

Otrzymałem listy i paczki od nieznannej mi i mojej Rodzinie osoby. Po powrocie do kraju udałem się pod adres podany w liście, ale nie odnalazłem jej. Pod wskazanymi adresami nikt jej nie znał. Osoba ta jednak знаła moją Rodzinę, gdyż wysłany do niej list trafił do mojej Matki. Pisząc te słowa, polecam ją Bożej Opatrzności, gdyż tylko w ten sposób mogę jej podziękować.

Nie zachowałem żadnego otrzymanego listu – zgodnie

z poleceniem władz obozowych, listy po przeczytaniu, za wyjątkiem ostatniego, musiały być niszczone.

16. PACZKI

Na przełomie lat 1943 i 1944 władze niemieckie zezwoliły na przysyłanie paczek żywnościowych do obozu. Dla więźniów już przebywających w obozie był to moment zwrotny, pomagający utrzymać się przy życiu.

Od sierpnia 1944 roku, z chwilą wybuchu powstania w Warszawie paczki i listy nie docierały już do obozu.

Każda przysłana paczka była oficjalnie okradana przez esesmanów w momencie jej wydawania więźniowi. Odbywało się to tak: po kolacji na bloku wywieszano kartki z nazwiskami (tylko w jednym tym przypadku posługiwano się nazwiskiem więźnia, a nie jego numerem). Szczęśliwiec biegł do „Schreibstuby”, gdzie wydawano paczki. Po wywołaniu staowało się przed stołem, na którym leżała uprzednio już otwarta paczka. Dyżurny esesman wysypywał jej zawartość na stół i zabierał co najmniej połowę, a nieraz i całość takich artykułów, jak masło, wędliny, pieczony drób, czekolada itp.

Z tak okrojonej paczki należało dać jeszcze haracz blokowemu, a jeżeli pisarzem był Niemiec to jeszcze i jemu. Mimo to zawsze więźniowi coś zostawało dla niego, a czasami i dla innych – byli tacy, co nie przejadali swych paczek.

Paczki zwiększyły ilość jedzenia w obozie. Stąd łatwiej było o dodatkową miskę zupy, a to czasami decydowało o przeżyciu. Funkcyjni obozowi mniej kradli racji żywnościowych przeznaczonych dla więźniów.

Wytworzyła się nawet grupa „paczkowych arystokratów”. Bardzo ożywiła się obozowa giełda. Można było na niej kupić w ramach wymiany lub za obozową walutę, czyli papierosy, miskę zupy, kromkę chleba, papierosy, skarpetki, skórzane buty, swetry, rękawiczki, wieczne pióra, zegarki oraz różne drobiazgi wytwarzane przez więźniów.

Moje paczki nie były „wystawne”. Żywność porcjowałem i sukcesywnie zjadałem jako dodatki do obozowego pożywienia. Nie paliłem papierosów i to było dla mnie zbawienne. Przesyłane mi papierosy i tytoń zamieniłem na skórzane buty, skarpetki, sweter, ciepłą bieliznę i mydło.

Niestety, ten paczkowy okres trwał u mnie tylko około pół roku, do chwili przeniesienia do Gusen II. Później nastał czas obozowego głodu i gdyby nie wcześniejsze „dożywianie” nie wiem, czy bym przetrzymał, a właściwie to dożył do dnia wolności.

Do dziś zachowały się dowody nadania przez moją Rodzinę 14 paczek żywnościowych o łącznej wadze brutto 94,8 kg. Pierwszy dowód z dnia 10.01.1944 roku, a ostatni jest datowany stemplem z dnia 31.05.1944 roku. Oprócz tego otrzymałem od innej, nieznanej mi osoby jeszcze kilka paczek. Chociaż większa część zawartości była urzędowo kradziona, to reszta stanowiła bardzo znaczące wzmocnienie dla mojego wygłodzonego organizmu.

17. KL GUSEN II – DNO PIEKŁA

Dla rozrastającego się przemysłu zbrojeniowego Niemiec obóz w Gusen I okazał się za mały. Budowa hal ciągnących się kilometrami we wnętrzu góry w St. Georgen i przeznaczonych na pomieszczenia

fabryki samolotów, wymagała tysięcy robotników-więźniów. Sprowadzano ich z krajów okupowanych przez III Rzeszę. Na ulokowanie wszystkich nie wystarczały dotychczasowe pomieszczenia. Wykończono więc przylegające do Gusen baraki, przeznaczone na magazyny odzieżowe dla esesmanów. Tak na początku marca 1944 roku powstał nowy obóz – Gusen II. Znaleźli się w nim więźniowie, którzy pracowali przy budowie tuneli, a potem przy produkcji samolotów w St. Georgen. Do pracy przewożono ich koleją, ściśniętych w otwartych wagonach węglowych.

Jeśli Gusen I był przedsionkiem piekła, to Gusen II stanowił jego dno.

Złożył się na to przede wszystkim dobór personelu administracji wewnętrznej, którą pozostawiono w rękach niemieckich więźniów. Na blokowych, pisarzy i kapo przydzielono tu największych bandytów z Gusen I.

Niewyspani, wygłodzeni, wymęczeni ludzie padali przy pracy. Każda zmiana przywoziła ze sobą kilkunastu zmarłych i zabitych. Okradanie więźniów w Gusen II z przysługujących im racji żywnościowych przybrało takie rozmiary, iż życie przeciętnego więźnia nie trwało tam dłużej niż trzy tygodnie i to, pomimo że ze względu na ciężką pracę otrzymywali większe racje żywnościowe niż więźniowie w innych komandach. Kradzione artykuły szły na handel z cywilnymi pracownikami z St. Georgen.

Niektórzy więźniowie, a zwłaszcza Polak Antoni Lisiecki, pisarz obozowy, nie mogąc ratować wszystkich, starał się pomagać poszczególnym więźniom. On orientował się w skomplikowanym aparacie administracyjnym. Między innymi wykonywał czynności dotyczące rozdziału i toku pracy. Uczynny i szlachetny Antoni Lisiecki uważany był za człowieka opatrnościowego zesłanego przez los do kaźni w Gusen II. W nim

była cała nadzieja tych, którzy u nikogo nie mogli znaleźć sprawiedliwości. Gdzie nie mógł załatwić sprawy z racji swego stanowiska, tam próbował innych kombinacji – do przekupywania Niemców włącznie. Doszło do tego, że skazanych na śmierć wykupywał z rąk katów, płacąc od głowy bochenek chleba lub 20 papierosów. Było to możliwe, ponieważ esesmani nie wtrącali się w szczegóły mordów. Wyznaczali tylko kontyngent na dany dzień, resztę zaś dopełniali według własnego uznania blokowi i kapo.

Mordowanie więźniów w Gusen II przybrało w ostatnich miesiącach przed wyzwoleniem przerażające rozmiary. Słabych więźniów, często nawet zdrowych, lecz z tych czy innych względów niewygodnych, uśmiercano w sadystyczny sposób topiąc w beczkach lub uderzając siekierą w głowę. Największą karą dla więźniów z Gusen I było dyscyplinarne przeniesienie do Gusen II. Krematorium w Gusen I, dokąd zwożono również trupy z Gusen II, nie mogło nadążyć z ich spalaniem.

Jakieś złowrogie fatum zawisło nad tym przeklętym obozem. Oprócz mordowanych, setki ofiar pochłaniały będące na porządku dziennym katastrofy w czasie budowy tuneli w St. Georgen oraz inne „nieszczęśliwe wypadki”.

W Gusen II zginęło bardzo wielu Polaków przysłanych tu po wybuchu Powstania Warszawskiego.

18. Z PRZEDSIONKA NA DNO PIEKŁA

Do tego „dna piekła” dostałem się w sierpniu 1944 roku i zostałem przydzielony do komanda Bergkristall. Był to kryptonim fabryki kadłubów i płatów do pierwszych na świecie odrzutowych samolotów

myśliwskich Messerschmitt Me-262. Produkcja tych zespołów trwała aż do 2 maja 1945 roku tj. do czasu opuszczenia obozu przez dowództwo żołnierzy SS. Straż nad obozem przejęła wówczas policja austriacka złożona ze starszych mężczyzn (Volkssturmsoldaten, Hilfstruppen der Wiener Feuerschutzpolizei).

W fabryce pracowano na dwie zmiany po 12 godzin. Jeżeli doliczyć do tego obowiązkowe czynności obozowe oraz czas na dojazdy i przyjazdy, to na odpoczynek i sen nie zostawało zbyt wiele czasu.

Bez względu na pogodę przewożono nas koleją, ściśniętych do granic możliwości w otwartych wagonach zwanych węglarkami. Ten celowy ścisk to zabezpieczenie przed ewentualnym wydostaniem się z wagonu. Pociąg jechał bardzo wolno. Po obu stronach toru w odległości kilkudziesięciu metrów, na całej długości pociągu, szli w szeregu uzbrojeni esesmani z groźnymi wilczurami. Przejazd około 5 km trwał ponad godzinę.

Niewyspani, wygłodzeni i wymęczeni ludzie padali przy pracy i umierali w obozie, w czym skwapliwie pomagali im kapo i blokowi. Więźniowie umierali nawet w czasie snu. Sam mogłem się o tym przekonać. Na pryczy spało się po dwóch. Zdarzyło się, że mój „współlokator” nie wstał rano na zbiórkę do pracy. Nawet nie wiedziałem, kiedy umarł, a przecież leżałem obok niego. Była to cicha i spokojna śmierć. Na apelu musieli być wszyscy. Ja żywy w szeregu, a on już bez ubrania, leżał wśród martwych pod barakiem z numerem wypisanym na piersiach.

Kiedyś byłem tak zmęczony, że nie mogłem się w porę obudzić i spóźniłem się na apel, nie pojechałem do pracy. W tym czasie za takie przewinienie karano śmiercią, którą wymierzali kapo i blokowi. Ale za bochenek chleba lub paczkę papierosów można było się wykupić

– tyle kosztowało ludzkie życie. Mnie uratował Polak, pisarz obozowy (nazwiska nie pamiętam), który sam wymierzył mi karę 15 kijów (norma była 25). Tym sposobem uniknąłem kary z rąk kapo, która zazwyczaj kończyła się w krematorium.

Częste wypadki samobójstw świadczyły o warunkach panujących w obozie. Widziałem jak jeden z więźniów pracujących przy torze kolejowym, położył głowę na szynę w momencie ruszania pociągu. Po przejechaniu pociągu głowa i tułów leżały oddzielnie.

Więźniowie będący w silnej depresji lub ci, których zmusili do tego kapo rzucali się na druty kolczaste ogrodzenia obozu, będące pod wysokim napięciem. Prawie każdego dnia było widać zwisające na drutach zwłoki tych, którzy już dłużej nie wytrzymali obozowej gehenny. Ginęli porażeni prądem elektrycznym lub zastrzeleni przez wartowników podczas „ucieczki”.

19. KRYSZTAŁOWA GÓRA

Po niemiecku to – Bergkristall.

Dla nas, ówczesnych więźniów to Kommando Bergkristall, które pochłonęło pośrednio lub bezpośrednio życie tysięcy ludzi. Gdyby usypać w jedno miejsce pochodzące od nich kryształki łez, potu i krwi, powstałaby też kryształowa góra, z której dochodziłyby płacz, jęki i skargi do Boga.

Zgodnie z moją Häftling-Personal-Karte zostałem przydzielony do tego komando 19 sierpnia 1944 roku z jednoczesnym przeniesieniem mnie do obozu Gusen II.

Ta „Kryształowa Góra” to kryptonim fabryki odrzutowych

samolotów Messerschmitt, zlokalizowanej w podziemnych sztolniach wyrabanych niewolniczą pracą więźniów, w górze z piaskowca w okolicy miasta St. Georgen.

Cała fabryka usytuowana na głębokości kilkudziesięciu metrów to kratownica głównych hal produkcyjnych i korytarzy pomocniczych liczących około 15 kilometrów długości (dane zaczerpnięte ze wspomnień więźnia pracującego przy budowie).

Na ówczesne czasy fabryka była znacznym osiągnięciem techniki. Własne agregaty prądotwórcze. Oświetlenie typu jarzeniowego. Napięcie instalacji elektrycznej 24 Volt. Pneumatyczne narzędzia, takie jak wiertarki i młotki do nitowania.

Równolegle z produkcją trwała budowa dalszych tuneli. W przodku kombajn ze specjalnymi piłami wycinał zarys tunelu. Następnie cofał się i więźniowie za pomocą młotów pneumatycznych wyrąbywali piaskowiec, który taśmociągami był wynoszony na zewnątrz, a dalej kolejką na usypisko. W pewnej odległości od przodka pracowały grupy, które obmurowywały kamieniami ściany i stropy sztolni. W obmurówce, w pewnych odstępach wstawiano zbrojenia ze stalowych kształtowników.

Szacuje się, że w fabryce pracowało w dwunastogodzinnym systemie zmianowym około 11 000 więźniów.

Pobyt w Gusen II, a szczególnie praca w podziemnej fabryce jest dla mnie częściowo „białą plamą”. Pamiętam tylko niektóre wydarzenia. Muszę wspomagać swoją pamięć literaturą o tematyce związanej z obozem i zakładami Messerschmitt, aby powstał w miarę prawdziwy obraz tamtych dni.

Początkowo przydzielono mnie do różnych robót pomocniczych

przy trwającej cały czas rozbudowie fabryki. Później zostałem dołączony do zespołu wykonującego płyty nośne – skrzydła – do samolotów myśliwskich albo rakiet V2. Zostałem wyznaczony na pracownika porządkowego, ale ponieważ zawsze było coś nie tak, często obrywałem łanie od nadzorującego naszą grupę esesmana.

Niemcy do maksimum wykorzystywali więźniów przy produkcji. Zatrudniali ich nawet w kontroli technicznej. Każdą grupę roboczą (kilkadziesiąt osób) nadzorował jeden pracownik cywilny, a kilka grup roboczych jeden wojskowy SS.

Karano surowo za każdą usterkę lub niewłaściwe tempo pracy. Każda zmiana przywoziła do obozu wielu zmarłych.

I tak to trwało aż do 2 maja 1945 roku, kiedy po raz ostatni pracowaliśmy w fabryce (2 maja 1945 – upadek Berlina). W tym dniu oddziały SS opuściły obóz i fabrykę, która pozostała nienaruszona do czasu wyzwolenia Gusen przez wojska amerykańskie.

20. WOLNOŚĆ MOGŁA PRZYJŚĆ ZA PÓŹNO

Pomimo głodu, wyniszczającej pracy i ciągłego widma śmierci więźniowie dla podtrzymania ducha zbierali i przekazywali sobie wiadomości i „parole” (tendencyjnie optymistyczne wiadomości) o tym, co dzieje się na świecie, w tym szczególnie na frontach walki w Europie.

Więźniowie nie mieli dostępu do niemieckich gazet – docierały one do Niemców. Stąd w wysyłanych listach proszono rodziny, aby artykuły żywnościowe były pakowane w gazety, gdyż lepiej się przetrzymują.

Były też wiadomości przekazywane przez więźniów różnych

narodowości z nowo przybyłych transportów.

Osobiście usilnie wypytywałem zesłanych do Gusen warszawiaków o przebieg walk w czasie Powstania Warszawskiego i sytuację ludności cywilnej. Niestety, przekazywane przez nich relacje nie były optymistyczne. Smutne, ale niewielu z nich dożyło dnia wyzwolenia obozu.

Długo po tym rozważałem, jaki byłby mój los, gdybym wziął udział w powstaniu.

Tragiczny los był udziałem Włochów – wyszydzani i poniewierani za „zradę” przez esesmanów i ich popleczników masowo ginęli.

Wielką sensacją był zamach na Hitlera w lipcu 1944 roku, kilka dni nie chodziliśmy do pracy, a obóz przypominał wojenną twierdzę.

Od połowy 1944 roku nasiliły się alianckie naloty na zakłady przemysłu zbrojeniowego zlokalizowane niezbyt daleko od obozu. Odgłosy wybuchów bomb słyhać było w obozie, co wywoływało radość wśród więźniów.

Pamiętam szczególnie jeden taki nalot w lipcu 1944 roku, czyli w czasie, kiedy byłem jeszcze w Gusen I. Po ogłoszeniu alarmu, przebywających w obozie więźniów – pracowników zakładów Steyera i Messerschmitta, zapędzono do wykopanych rowów przeciwlotniczych tuż przy drutach kolczastych ogrodzenia. Pozostali musieli zostać w barakach, gdyż rowy wszystkich nie mieściły.

W tym dniu eskadry samolotów nisko przelatywały nad obozem. Było ich tak dużo, że przesłaniały całe niebo. Niestety, nie było to bezpieczne. Obrona przeciwlotnicza na naszych oczach zestrzeliła kilka maszyn (mówili, że aż siedem).

Esesmani zastrzelili wszystkich lotników ratujących się

na spadochronach – jeszcze w powietrzu lub tuż po wylądowaniu.

Następne eskadry leciały już wyżej i były nieosiągalne dla artylerii.

Szczątki strąconych samolotów zostały zgromadzone w obozie i ułożone obok głównej bramy.

Z lecących samolotów spadał deszcz cieniutkich paseczków metalowej folii. Fachowcy orzekli, że to w celu zakłócenia pracy radarów i optycznych przyrządów namiarowych obrony przeciwlotniczej.

Zbrodnia zastrzelenia lotników wzbudziła oburzenie wśród więźniów, ale równocześnie uzmysłowiła im, że Niemcy, którzy pogwałcili wszystkie prawa ludzkie i międzynarodowe, nie cofną się w przededniu klęski przed wymordowaniem wszystkich więźniów, co zresztą obiecywali na każdym kroku.

Według informacji więźniów pracujących na funkcjach w administracji i zarządzania obozem, w pierwszych dniach kwietnia (1945 roku), z soboty na niedzielę, Ziereis i Seidler (komendant Mauthausen i Gusen) i dwóch naczelników dyrektorów firmy DEST (Deutsche Erd- und Steinwerke) Walter i Wolfram własnoręcznie wyladowali z wagonów jakieś skrzynie i beczki. Był to, jak się później okazało, dynamit i gaz trujący przeznaczony do zlikwidowania całego obozu.

W niedzielę w południe, pod pozorem fałszywego alarmu wszystkich więźniów z Gusen I i II, z wyjątkiem chorych znajdujących się na rewirze, wpędzono do tunelu.

Esesmanom widocznie bardzo się spieszyło i intensywniej niż zwykle szczuli psami, bili i popychali więźniów. Podejrzanie wyglądało również, że tego dnia do schronu nie schodziła ani ludność cywilna ani personel obozowy. Nieświadomi niczego więźniowie nie okazywali strachu,

przeciwnie cieszyli się z nowego nalotu. Nie przeczuwali, że stoją u progu straszliwych, nieludzkich mąk i śmierci. Co wpłynęło na to, że owego dnia nie wykonano tego potwornego planu pozostaje tajemnicą.

Schwytany komendant Mauthausen Ziereis tak zeznawał w tej sprawie:

Zgodnie z rozkazem ministra Rzeszy Himmlera, na polecenie Obergruppenführera dr. Kaltenbrunnera, miałem zgładzić wszystkich więźniów. Mieli oni być zaprowadzeni do tuneli, do których wejścia miały być uprzednio zamurowane, z pozostawieniem tylko jednego wejścia. Następnie tunele miały być wysadzone w powietrze razem z wpędzonymi tam więźniami. Odmówiłem wykonania tego rozkazu. Chodziło tutaj o więźniów z Gusen I i II.

Gdyby ten piekielny plan został zrealizowany, nie pisałbym teraz wspomnień. Znak Czasu?

1. PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI

Esesmani opuścili Gusen 2 maja 1945 roku. To odejście, a raczej ucieczka była dowodem, że dzień wolności jest już blisko. Przerwano pracę, ustało bicie. W obozie zapanował pozorny spokój, jak cisza przed burzą. Wszyscy czekali na wytęsknioną i upragnioną chwilę wolności.

Widmo głodu zawisło nad obozem. Uciekający esesmani pozostawili po sobie puste magazyny żywności. Chleba brakowało już od kilku dni. Nowe władze obozowe nie mogły sobie poradzić z tym problemem. W kopcach pozostały tylko nadpsute ziemniaki, więźniowie zabierali je i przyrządzali z nich jedzenie.

Po trzech dniach wyczekiwania nareszcie przyszła wolność! Amerykanie weszli do Gusen II 5 maja 1945 roku około godziny 17.00. A właściwie to wbiegło na teren obozu kilku amerykańskich żołnierzy, z których jeden krzyknął po polsku: „Jesteśta wolni!”

Co się po tym działo nie sposób opisać. Płacz, łzy, wzajemne ściskanie i „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Swoje hymny narodowe zaczęli śpiewać też więźniowie innych narodowości.

Amerykanie rozbroili wartowników – „dziadków” z Volkssturmu i Pomocniczych Oddziałów Policji Austriackiej i ustawili ich pomiędzy dwoma wozami bojowymi. Tak sformowana kolumna „triumfalnie” podążyła w kierunku Gusen I.

Przed wyruszeniem, odebraną wartownikom broń Amerykanie zrzucili na stos, wylali na nią kanister benzyny, podpalili i odeszli. Ten widok

był hasłem do „sądnego dnia”. Znikły radość i łzy, które przemieniły się w gniew i chęć od dawna skrywanej zemsty na esesmanach i funkcyjnych zwyrodnialcach. Nim Amerykanie doszli do swoich pojazdów ugaszono ogień i wartownicza broń znalazła się w rękach więźniów.

Pisząc te wspomnienia jestem pewien, że Amerykanie celowo zastosowali „westernowskie” prawo i dali nam szansę odwetu.

Zemsta więźniów nie dosięgła głównych winowajców – esesmanów – zdążyli opuścić obóz 2 maja 1945 roku. Jednak ich pomocnicy srogo zapłacili za swoje czyny.

Zaczęło się polowanie na blokowych, sztubowych, kapo, szpicli i innych funkcyjnych, którzy wymyślnymi i sadystycznymi metodami uśmiercili lub przyczynili się do śmierci wielu takich samych, jak i oni więźniów. Wprawdzie ci obozowi funkcyjni uśmiercali z poduszczenia niemieckich władz, ale czy musieli starać się dorównać im w ludobójstwie?

Nie było litości. Ginęli tak, jak sami zabijali innych. Ich zmasakrowane ciała leżały na placu tam, gdzie dosięgła ich zemsta. Niektórym udało się uciec z obozu. Tych poszukiwały specjalne uzbrojone patrole – złożone przeważnie z Polaków. Nie wiem, ilu zostało zgładzonych – szacuje się, że samosądy dosięgły w Gusen II około trzydziestu oprawców.

Obóz pogrążył się w chaosie – jedni szukali zemsty, inni – żywności i odzieży w magazynach.

Byłem w magazynie żywności – pustki, nic do jedzenia. W ostatnich miesiącach otrzymywaliśmy tylko miskę zupy i co kilka dni kawałek chleba. W magazynie odzieżowym totalny bałagan. „Zorganizowałem” sobie jakieś cywilne ubranie (któregoś z więźniów, który już prawdopodobnie nie żył).

Zaczęły tworzyć się grupy. Zdrowsi i silniejsi wyszli z obozu. Zaczęli sprowadzać krowy, świnie, kozy, wszelkiego rodzaju drób. Przynoszono ziemniaki, warzywa, owoce. Niektórym udało się „zorganizować” nawet chleb.

Okoliczna ludność na pewno długo pamiętała dzień wyzwolenia obozu!

2. KRAJOBRAZ PO DNIU WOLNOŚCI

Zagubiłem się w tej nowej sytuacji. Byłem jakoś dziwnie bezradny i tak się ułożyło, że nic nie mogłem zdobyć do jedzenia, ale zostałem życzliwie przyjęty do jednej z grup. Byłem w niej kimś w rodzaju kucharza.

Zapadł zmrok. Obóz wyglądał jak obozowisko średniowiecznego wojska. Nikt zdrowy nie spał. Wszędzie ogniska, przy których siedzieli dawni więźniowie i gotowali to, co udało im się zdobyć. Blask płomieni tworzył refleksy na wychudłych twarzach i odruchowo wyciągniętych do jedzenia rękach, które podobne były do kości obciążonych skórą. Tylko oczy świeciły nowym blaskiem.

Była to pierwsza noc wolności i byliśmy bardzo szczęśliwi. Cieszyła nas nadzieja, że nareszcie najemy się do syta i to tego, o czym się marzyło od dawna.

Pełne zrealizowanie marzenia okazało się dla niektórych zgubne. Wycieńczone prawdziwym głodem organizmy nie mogły podolać takiej nagłej zmiany. W mojej grupie panował reżim, wolno było jeść tylko małe porcje i to w dużych odstępach czasu. Tych, którzy nie mogli się wstrzymać, bito kijem po rękach, które bezwiednie sięgały po jedzenie.

Rano, po wschodzie słońca, tam gdzie paliły się w nocy ogniska leżeli liczni umarli. Byli to ci słabsi psychicznie i fizycznie, którzy nie wytrzymali

gwałtownej zmiany: katorgi na wolność, głodu na obfitość jedzenia.

Obóz wyglądał jak pobojuwisko. Życie jakby zamarło i nic się nie działo. Amerykanie na razie nie interesowali się obozem. Nie było prądu i wody. Ci, co mogli chodzić opuścili obóz. Pozostały puste baraki pełne bałaganu oraz trupy pod krematorium, których nie zdążono spalić. Na placu apelowym i drogach leżeli pozabijani funkcyjni i ci, co umarli po wyzwoleniu.

Według wspomnień jednego z byłych więźniów, członka obozowego ruchu oporu, pozostało około 2000 chorych różnych narodowości, pozbawionych jakiejkolwiek opieki. Chorzy byli skazani na powolną śmierć, gdyż cały personel rewiru złożony z więźniów, w pierwszych dniach opuścił obóz. Wtedy grupa kilkunastu Polaków – członków konspiracyjnego ruchu oporu postanowiła przyjść im z pomocą. Nie była to dla nich łatwa ani prosta decyzja. Amerykanie przejęli opiekę nad chorymi dopiero po kilku dniach od wyzwolenia obozu, lecz Polacy pozostali aż do czasu jego likwidacji, co nastąpiło w końcu lipca 1945 roku.

Na podstawie danych zaczerpniętych z książek, w pierwszym miesiącu po wyzwoleniu umarło ponad 1000 z tych, co przeżyli. Dotyczy to zarówno tych, którzy pozostali w obozie, jak i tych, którzy do niego powrócili nie mogąc się odnaleźć w nowej rzeczywistości oraz z uwagi na stan zdrowia. Według różnych źródeł szacuje się, że w latach 1939–1945 było uwięzionych w Gusen 77 500 osób różnych narodowości. Zginęło 44 600 więźniów, w tym 27 000 Polaków.

3. PIERWSZE PRZEMYŚLENIA

Euforia zaczynała opadać – wypaliła się częściowo przy ogniskach, a znikła nazajutrz rano, gdy ujrzelśmy to nasze obozowe pobojowisko.

Decyzja zapadła szybko – jutro opuszczamy obóz i ruszamy do Linzu oddalonego od Gusen o około 18 kilometrów.

Wczesnie rano, przekraczając bramę obozu, powtarzałem w myślach marsz gusenowców:

Już przebrzmiał dzwon i świat swą zmienia twarz

Ojcowski dom na powrót czeka nasz

Pójdziemy w jasny dzień z zasobem nowych sił

Więc żegnaj nam świecie kamiennych brył

Historia tego marszu to pokłosie biernej walki więźniów w obro-
nie życia i ludzkiej godności. Tekst i muzykę napisali dwaj więźniowie
– Konstanty Ćwierk i Ludomir Szopiński. Marsz podobał się Niemcom,
ale sens jego słów rozumieli tylko Polacy.

Z obozu wychodziliśmy w pośpiechu, podświadomie dopingowani
okropnościami przeżyć, których doznaliśmy w tym miejscu. Inni robili
to samo. Śpiewu nie było. Już wtedy pojawiły się pierwsze przemyślenia.
Jesteśmy wolni, ale trzeba czasu, aby dojść do siebie psychicznie i fizycznie.

Jak to zrobić? Wracać do kraju, do swoich, czy na razie pozostać,
ale gdzie? Kto nam w tym wszystkim dopomoże?

Te 18 kilometrów to cały długi dzień wędrówki do Linzu.
Po drodze mijały nas amerykańskie samochody wojskowe z żołnierzami.

Wyciągaliśmy do nich ręce w gestach pozdrowienia i podziękowania za wyzwolenie. Oni rzucali nam kartony ze swoimi racjami żywnościowymi. Było to dla nas zbawienne, gdyż po drodze nic nie można było zorganizować do jedzenia. To, co było możliwe, wzięli nasi obozowi koledzy, którzy wyruszyli wcześniej.

W kartonach rzucanych przez Amerykanów były między innymi konserwy mięsne z nożykiem do otwierania puszek, suchary chlebowe, czekolada, papierosy z zapalnikami, papier toaletowy. Ten papier toaletowy to prawdziwe kuriozum, a jednocześnie rarytas – artykuł nie widziany od lat, a tu bardzo przydatny do wielu celów. Mnie posłużył do opatrzywania ropiejącego wrzodu na podbródku, który miałem od czasu uderzenia przez esesmana. Inni zawijali w papier zapasy żywności, które chowali na później.

Późnym popołudniem doszliśmy do Linzu i zatrzymaliśmy się u bogatego gospodarza na przedmieściu miasta. Ten gospodarz był nader uczynny (chyba ze strachu) i pozwolił nam brać wino (było bardzo „cienkie”) prosto z kadzi znajdującej się w piwnicy pod domem. Była to prawdziwa winiarnia – pierwszy raz w życiu zobaczyłem tam wysokie dębowe kufy i drewniane ogromne prasy do wyciskania soku z owoców.

Nazajutrz poszliśmy do miasta. Na ulicach niepodzielnie rządili więźniowie różnych narodowości. Najaktywniejsi byli chyba Polacy.

Grupy więźniów plądrowały sklepy i magazyny, wszędzie były powybijane szyby, panował ogólny bałagan. Wszystko zostało rozkradzione, przede wszystkim artykuły żywnościowe.

Mieszkańcy Linzu z pewnością na długo zapamiętali te dni.

Przejeżdżały wojskowe patrole amerykańskie, ale na razie nie interweniowały.

Wróciliśmy trochę lepiej przyodziani, ale bez prowiantu. Musiały nam wystarczyć resztki z paczek żywnościowych amerykańskich żołnierzy i wino gospodarza.

Od czego polska zaradność? Przybłąkał się jakiś obcy, niezbyt stary koń, który po kilku mozolnych godzinach był poćwiartowany i już się gotował. Nawet dobrze smakował. Znów byliśmy syci i wypoczywaliśmy, jedząc mięso i popijając wino.

Sielanka trwała krótko. Po kilku dniach Amerykanie zaprowadzali w mieście porządek. Byłych więźniów ponownie zabierano do obozu, aby tam ich zakwaterować do czasu repatriacji.

Według mnie, Amerykanie celowo przyzwolili więźniom KL Mauthausen, Gusen I i Gusen II na te kilka dni „rządzenia” miastem, dla odreagowania po latach zniewolenia i poniżania. Dopiero po tym można było zaprowadzić porządek organizacyjny i zgrupować byłych więźniów w wyznaczonych miejscach.

Uniknęliśmy tego i udało się nam „załapać” na transport do obozu zbiorczego dla uchodźców w Norymberdze. Obóz zorganizowano w byłych koszarach doborowej niemieckiej jednostki SS.

W Norymberdze zakończył się kolejny rozdział mojego życia.

VII

78 DNI WĘDRÓWKI DO POLSKI

Moja droga do Polski trwała od 6 maja 1945 do 22 lipca 1945 roku. Wiodła do Linzu w Austrii, a następnie do Norymbergii w Niemczech. Tam dostałem się do jednostki armii amerykańskiej z przydziałem do oddziału technicznej obsługi samochodów.

Na radiowe apele z kraju, wzywające Polaków do Ojczyzny, porzuciłem armię i gnany tęsknotą puściłem się w podróż do Polski, do Rodziny.

Jak i czym podróżowałem, co przeżyłem i co widziałem od chwili opuszczenia obozu w Gusen II do dnia przybycia do Warszawy – to materiał na oddzielną obszerną opowieść!

W Warszawie znalazłem się 22 lipca 1945 roku.

Na Dworzec Główny przyjechałem pociągiem, na dachu wagonu (tylko tam było wolne miejsce). Z tej wysokości, dla mnie pamiętającego Warszawę z 1943 roku, widok był niesamowity. Jak okiem sięgnąć wszędzie ruiny i zgliszcza domów, zasypane gruzem ulice.

Ale Warszawa żyła!

Przekonałem się o tym idąc pieszo z dworca aż na Pragę. Wśród gruzów i ruin widać było ruch i życie. Unoszące się do góry smugi dymów mówiły – tam są ludzie.

Czuło się jeszcze wtedy atmosferę wolności i wzajemnej życzliwości.

Na dworcu, od Pań z Czerwonego Krzyża otrzymałem posiłek, bardzo pożądany, gdyż od kilku dni niewiele jadłem. Później życzliwie informowano mnie, którymi ulicami będę mógł dojść do mostu pontonowego

na Wiśle, aby dostać się na Pragę – innego mostu dostępnego dla pieszych nie było.

Po przejściu mostu znalazłem się na ulicy Olszowej. Do miejsca, gdzie był mój dom było zaledwie kilkaset metrów, ale nogi ugięły się pod mną i odmówiły posłuszeństwa. Nie mogłem dalej iść – musiałem usiąść na ziemi, a właściwie to uklęknąć.

Tak bardzo pragnąłem podejść do Matki! Przytulić się i powiedzieć: Mamo! Wróciłem! Wojna się skończyła!

Niestety, to, co chciałem zrobić i powiedzieć – pozostało tylko pragnieniem.

Nie było już domu, a w nim Matki. Zmarła 21 listopada 1944 roku, mając 52 lata, ranna odłamkami niemieckiego pocisku artyleryjskiego, który upadł i eksplodował na podwórzu domu przy ulicy Panieńskiej 3, w momencie, kiedy Matka szła schodami do piwnicy i znalazła się przy drzwiach wychodzących na podwórko.

Wielokrotnie przychodziłem na miejsce naszej ostatniej rozmowy 12 września 1943 roku, kiedy niefrasobliwie powiedziałem:

„Do widzenia, Mamo! Nie wrócę aż za dwa lata! Aż się wojna skończy!”

Wróciłem 22 lipca 1945 roku po 678 dniach nieobecności. Do pełnych dwóch lat brakowało dokładnie 52 dni. Tyle dni ile lat miała Matka, kiedy umarła!

Czyżby to miało być „życie za życie”?

W podobnie tragiczny sposób zginął brat Janek. Kapral Wojska Polskiego, wcielony do wojska na mocy nakazu mobilizacyjnego, brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Po rozbiciu jego oddziału

przez wojska niemieckie przedostał się do oblężonej Warszawy. Po kilku dniach spędzonych z żoną i synkiem, mimo ich sprzeciwu wyszedł z domu i udał się do punktu zbornego w Cytadeli, aby wstąpić do Batalionów Obrony Warszawy. Nie doszedł! Przed Cytadelą upadł w pobliżu niego i eksplodował niemiecki pocisk artyleryjski. Ranny odłamkami pocisku Janek zmarł 31 października 1939. Miał 26 lat – połowę tego, ile miała nasza Matka. To znaczy tyle, ile ja miałem, kiedy powróciłem do Polski (lata wojny liczę podwójnie).

Rodzeństwo powiedziało mi, że Matka do ostatnich dni wierzyła i mówiła wszystkim, że ja powrócę! Pieczołowicie przechowywała mój ciemny garnitur, gdyż jak twierdziła, „gdy Stacho powróci to będzie miał w czym chodzić”.

Otrzymałem ten garnitur, ale upłynęło wiele miesięcy nim mogłem go założyć.

Gdy dotarłem do Warszawy, miałem na sobie tylko mundur amerykańskiego żołnierza i żadnych pieniędzy – resztę skromnego dobytku utraciłem w czasie wędrówki do Polski. To był cały mój majątek, z którym mając 20 lat, a właściwie to już 26 lat – lata wojny liczą się co najmniej podwójnie – rozpoczynałem kolejny etap życia.

Nie bałem się! Byłem już życiowo zahartowany. Poza tym miałem oparcie w życzliwej i uczynnej Rodzinie.

VIII

POSŁOWIE

Należę do pokolenia, któremu II wojna światowa odebrała to, co nazywamy młodzięczymi latami – to, co było opiewane przez poetów i opisywane przez humanistów nastawionych pozytywnie do świata młodych. Pozwalam sobie przypomnieć tu *Ode do młodości*, napisaną przez naszego wieszczę Adama Mickiewicza.

Moi rówieśnicy, dziewczęta i chłopcy, zamiast realizacji marzeń i szczytnych ideałów, zostali wciągnięci w wir maszyny wojennej, stąd ci młodzi, bardzo często wspólnie z dorosłymi, musieli walczyć o chłódzie i głódzie (to nie przerośnia) o przeżycie i własną godność.

Wojna rodzi przemoc po obydwu stronach, a silniejszy dyktuje prawo.

Przemoc zamazuje moralną granicę między dobrem i złem, uczy odwetu wynikającego często z niewłaściwej, subiektywnej oceny sytuacji.

Prowadzi to do wyborów, które później okazują się nie tymi, o których myśleliśmy i o których marzyliśmy.

To wszystko zadecydowało o tym, że bardzo szybko musieliśmy dorosnąć. Byliśmy obciążeni bagażem tego, co przyniosła wojna. Ten ciężar był dla niektórych zbyt wielki, nie mogli mu podołać, nieświadomi tego, co ich czeka szli na „skrót” (w obozie mówiło się „na druty”, ale to była świadoma samozagłada).

W obozie Gusen zetknąłem się z jednym z chłopców z harcerskiej organizacji Szarych Szeregów (tych z Pawiaka). Podzielił los tych młodych,

którzy zostali wciągnięci lub wpadli w otchłań zła i deprawacji obozowej. Przeżył! Ale czy mógł podźwignąć się z tego i żyć dalej normalnie? Biorąc pod uwagę jeszcze późniejszy „terror ustrojowy” (komunistyczny) – nie było to łatwe! Z jednej otchłani można było wpaść w drugą.

Z zazdrością (niezawistną!) przyglądam się, w jakich warunkach rosną i jak rozwijają się najmłodsze pokolenia. Mimo woli nasuwają się niechciane porównania z tamtymi naszymi latami, w których przypadło nam żyć.

70 lat dynamicznych przemian i postępu we wszystkich dziedzinach naszego życia nie pozwalają na obiektywne porównania – ci, którzy to robią popełniają kardynalny błąd.

Wierzący modlą się: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Czy to jest dla wszystkich jednakowo możliwe?

Mój dylemat ma tu bardzo osobiste podłoże. Czy można odpuścić winy tym, którzy zgotowali taki los człowiekowi? Tym, którzy na kłamarach wojskowych pasów mieli wytłoczony napis „Gott mit uns”?

Od dawna mówi się o pojednaniu ludzi, których wojna ustawiła po przeciwnych stronach.

Nie może być prawdziwego pojednania bez przebaczenia i prawdy! A prawda bywa różna dla każdej ze stron.

Moje osobiste spostrzeżenia w kontekście minionego i obecnego czasu nie napawają pełnym optymizmem i szansą na powodzenie idei całkowitego pojednania. Jest jeszcze przepaść między oprawcą a ofiarą i nie wszystkie krzywdy można wyrównać sprawiedliwością.

Tak myśli moje pokolenie.

Pojednanie bez przebaczenia i prawdy historycznej będzie tylko kładką bez poręczy pomiędzy brzegami przepaści – będzie można przechodzić, ale nie bez obawy.

Proces pojednania powinien być dziełem naszych potomnych.

Według Biblii Mojżesz przez 40 lat wiodł Izraelitów z Egiptu do Ziemi Obiecanej. To było celowe – w tym czasie wymarło „niewolnicze” pokolenie. Następne pokolenia mogły działać bez kompleksów swych poprzedników.

Z okazji 50. rocznicy zakończenia wojny otrzymałem ze Stowarzyszenia Maximilian-Kolbe-Werk (Stowarzyszenie na rzecz pojednania polsko-niemieckiego oraz niesienia pomocy byłym więźniom niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych) pamiątkowy medal. W dokumencie załączonym do medalu, między innymi czytamy:

(...) Przeżyliście okrucieństwa terroru panującego w obozach. Ale i potem życie Wasze było bardzo trudne. A mimo to, to Wy daliście w tym czasie wsparcie dowody gotowości do pojednania. Kwiat róży odwzorowany na medalu symbolizuje to Wasze orędzie pojednania. Wierzimy, że Wasz przykład będzie oddziaływał także na innych, nie tylko na wzajemne stosunki pomiędzy Polakami i Niemcami, ale stanie się także wzorem do naśladowania, zwłaszcza dla tych narodów, które dziś reprezentują postawę wzajemnego niepojednania. Wasze cierpienia w obozach, gettach czy hitlerowskich więzieniach oraz Wasze trudne życie po wyzwoleniu nie były daremne. Jesteśmy o tym głęboko przekonani (...).

Tak być powinno!

Ale tak nie jest.

Obecnie w wielu regionach świata ludzie opętani fanatyzmem dominacji politycznej, rasowej, religijnej lub osobistej dla osiągnięcia zamierzonych celów dopuszczają się zbrojnych aktów przemocy. Pochłaniają one tysiące ludzkich istnień i to nadaje im znamiona ludobójstwa. Czyżby historia tragicznych lat II wojny światowej nie stała się ostrzeżeniem dla ludzkości?

Te słowa jako rodzaj swoistego przesłania kieruję do tych, którzy urodzili się i żyją w wolnej Polsce.

Wierzę w ludzi! I wiem, że szczęście człowiekowi może dać tylko drugi człowiek, ale to musi być człowiek.

Rodzinie, Przyjaciółom i Potomnym,

Stanisław Zalewski

Warszawa, 2015 rok

Publikacje, które były pomocne przy redagowaniu drugiego wydania:

Stanisław Dobosiewicz, *Mauthausen – Gusen. W obronie życia i ludzkiej godności*, Warszawa 2000.

Regina Domańska, *Pawiak – kaźń i heroizm*, Warszawa 1988.

Agnieszka Haska, „*Jestem Żydem, chcę wejść*” *Hotel Polski w Warszawie 1943*, Warszawa 2006.

Jan Kosiński, *Niemieckie obozy koncentracyjne*, opracował Waldemar Sobczyk, Stephanskirchen 1999.

Jacek Leociak, *Tekst wobec zagłady (O relacjach z getta warszawskiego)*, Wrocław 1997.

Jerzy Osuchowski, *Gusen. Przedsionek piekła*, Warszawa 1961.

Tomasz Strzembosz, *Akcje zbrojne podziemnej Warszawy*, Warszawa 1978.

Franciszek Julian Znamkowski, *Pamiętamy. „Nigdy Więcej Obozów Koncentracyjnych*, Kanada 1971.

Anka Grupińska, Jan Jagielski, Paweł Szapiro, *Getto Warszawskie*, Marki 2008.

Od Fortu VII do Gusen, praca zbiorowa, Poznań 2000.

Auschwitz. Nazistowski obóz śmierci, praca zbiorowa, Kraków 2008.

SPIS TREŚCI

Świadectwo	5
I Prolog	11
II Czas wojny i okupacji.....	15
1. Wprowadzenie	15
2. Wojna.....	15
3. UFO?	16
4. Pierwsze „Znaki Czasu”	18
5. Powrót do Warszawy.....	21
6. Majsterek	22
7. Getto.....	23
8. Amulet	27
9. Czterech na literę „S”	27
III 23 dni na Pawiaku.....	31
1. Do widzenia, Mamo!	31
2. Pawiak.....	32
3. Kwarantanna na Pawiaku.....	33
4. Nocne udręczenia.....	35
5. Obórka.....	36
6. Pchły i pluskwy	37
7. Świerzb	37
8. Transport.....	38
IV 31 dni w KL Auschwitz-Birkenau	41
1. Machina zagłady	41
2. Zarys historii KL Auschwitz.....	42

3. Auschwitz I	45
4. Auschwitz II – Birkenau	46
5. Wożeni i idący do krematorium	49
6. Dzielenie chleba.....	51
7. Kolejny transport	52
V 545 dni w KL Mauthausen, KL Gusen I i KL Gusen II	53
1. Z KL Auschwitz do KL Mauthausen	53
2. KL Gusen I – przedsionek piekła	56
3. Rozkład dnia.....	58
4. Karta Personalna Więźnia.....	63
5. Kwarantanna	64
6. Arbeitskommando Rü Messerschmitt	67
7. Lekcja pokazowa.....	68
8. Śmierć za przekonania religijne.....	69
9. Różaniec w obronie ducha i ludzkiej godności.....	70
10. Rewir.....	73
11. Sprawiedliwość w okowach sumienia.....	75
12. Wszy i pchły	78
13. Prominenci.....	81
14. Puff	83
15. Kochana Mamo! Jestem zdrow... ..	84
16. Paczki.....	86
17. KL Gusen II – dno piekła.....	87
18. Z przedsionka na dno piekła	89
19. Kryształowa Góra	91
20. Wolność mogła przyjść za późno	93

VI Wolność	97
1. Pierwszy dzień wolności.....	97
2. Krajobraz po dniu wolności	99
3. Pierwsze przemyslenia	101
VII 78 dni wędrówki do Polski	105
VIII Posłowie.....	109

Napis na tablicy w obozie koncentracyjnym Mauthausen brzmi:

W tym miejscu znajdował się w okresie od czerwca 1938 roku do 5 maja 1945 roku obóz koncentracyjny Mauthausen. Tutaj i w sąsiednich obozach zostało bestialsko wymordowanych przez nacjonalistycznych pomocników kata 122 766 więźniów:

Żołnierze sowieccy i oficerowie oraz ludność cywilna ZSRR	32 180
Obywatele polscy	30 203
Obywatele węgierscy	12 923
Obywatele jugosłowiańscy	12 870
Obywatele francuscy	8 203
Obywatele hiszpańscy	6 502
Obywatele włoscy	5 750
Obywatele czechosłowaccy	4 473
Obywatele greccy	3 700
Niemieccy antyfaszyści	1 500
Obywatele belgijscy	742
Austriaccy antyfaszyści	235
Obywatele holenderscy	1 178
Obywatele norwescy	77
Obywatele amerykańscy	34
Obywatele luksemburscy	19
Obywatele angielscy	17
Obywatele innych krajów i bez obywatelstwa	3 160

Obóz został przejęty przez rząd federalny Austrii od armii radzieckiej w dniu 20 czerwca 1947 roku. W tych liczbach nie są ujęte dziesiątki tysięcy więźniów zamordowanych wkrótce po przybyciu do obozu i nie rejestrowanych.



Autor przed tablicą pamiątkową w Miejsu Pamięci Mauthausen, czerwiec 1998



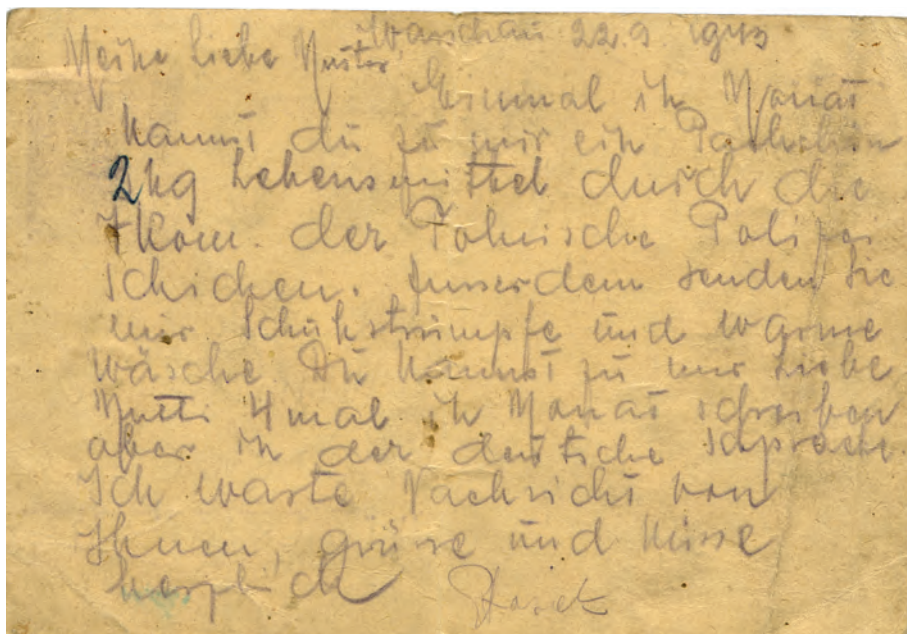
Grupa konspiracyjna ZWZ, pierwszy z lewej Stanisław Zalewski, Warszawa 1941



Grupa konspiracyjna ZWZ przed sklepem spożywczym na Pradze, pierwszy z prawej Stanisław Zalewski, Warszawa 1941



Stanisław Zalewski przy rowach przeciwlotniczych wykopanych przed budynkiem przedwojennej Państwowej Komendy Uzupełnień, Warszawa 1942



Karta pocztowa do matki Marianny Zalewskiej napisana na Pawlaku, 28 września 1943

Absender:

Meine Anschrift: Stanisław

Name: Stanisław

geboren am: 4. X. 1945

Block 6 Stube B

Konzentrationslager Post. St. Georgen
Mauthausen / Gusen Oberdonau

Folgende Anordnungen sind beim Schriftverkehr mit Gefangenen zu beachten:

- 1.) Jeder Schutzhaftgefangene darf einmal zwei Briefe oder zwei Karten von seinen Angehörigen empfangen und diese absenden. Die Briefe an die Gefangenen müssen gut lesbar mit Tinte geschrieben sein und dürfen nur 15 Zeilen auf einer Seite enthalten. Gestattet ist nur ein Briefbogen normaler Größe. Briefumschläge müssen ungefüllt sein. In einem Briefe dürfen nur 5 Briefmarken à 12 Pfg. beigelegt werden. Alles andere ist verboten und unterliegt der Beschlagnahme. Postkarten haben 10 Zeilen. Lichtbilder dürfen als Postkarten nicht verwendet werden.
- 2.) Geldsendungen sind gestattet, doch ist dabei genau Name und Vorname, Geburtsdatum, Häftlingsblock und Stube anzugeben.
- 3.) Zeitungen sind gestattet, dürfen aber nur durch die Poststelle des K. L. Mauthausen/Gusen bestellt werden.
- 4.) Lebensmittelpakete sind gestattet. Außer einem Inhaltsverzeichnis sind Beilagen verboten und werden beschlagnahmt.
- 5.) Entlassungsgesuche aus der Schutzhaft an die Lagerleitung sind zwecklos.
- 6.) Sprecherlaubnis und Besuche von Gefangenen im Konzentrations-Lager sind grundsätzlich nicht gestattet.

Alle Post, die diesen Anforderungen nicht entspricht, wird vernichtet.
Der Lagerkommandant.

Post. St. Georgen
K. L. M. / Gusen
An Frau
Maria Halewska
Warschau
Obszwast. 6m4
Gen Gw.

Postempfang
1x im Monat

17. 1944

List do matki napisany w KL Mauthausen-Gusen, [czerwiec] 1944

Liebe Mutter. Herzlich danke ich
Dir, den Müttern Linyia Kwaszjanski
wohnung Feldheralle 39 u 2 und
alle anderen für empfangene Pak-
te. Pakete u Briefe haben mir grosse
Freude erdlet u hilfe. Ich bin
gesund u ganz. Heutiger bin
ich was hört bei Guck und
meinen Freunden. Ich danke Dir
meine liebe Mutter für empfangene
Wäsche, ausserdem brauche ich
nichts weiter. Herzliche Grösse
für Dich, Hebe, Müttern kleinen
Türk, Kraszinski u Familie u
meinen Freunden Güter
Störck

List do matki napisany w KL Mauthausen-Gusen, [czerwiec] 1944

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Wzór Nr. 3
(dla mężczyzn w wieku od lat 16 do 50)

Punkt Przyjęcia
w Ligińcu

Zaświadczenie № 53434

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Kalewski Stanisław Władysław
(nazwisko, imię, imię ojca)
1.10.1915 r. w Sucha Wola p. Koronów w. Kielecki
(rok i miejsce urodzenia)
przybył do Polski z terytorium 2 Niemiec i oborn. Oświęcim
i dnia 19.7 1945 r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w Ligińcu
Obecnie udaje się do Warszawy ul. Olśnowa 4. 6
(obowiązny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia
ob. Kalewski Stanisław ma pierwszeństwo i prawo
jednоразового bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do stacji
Warszawy

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
idącej pomocy okazicielowi niniejszego

Miejsce
na fotografię

M. P.

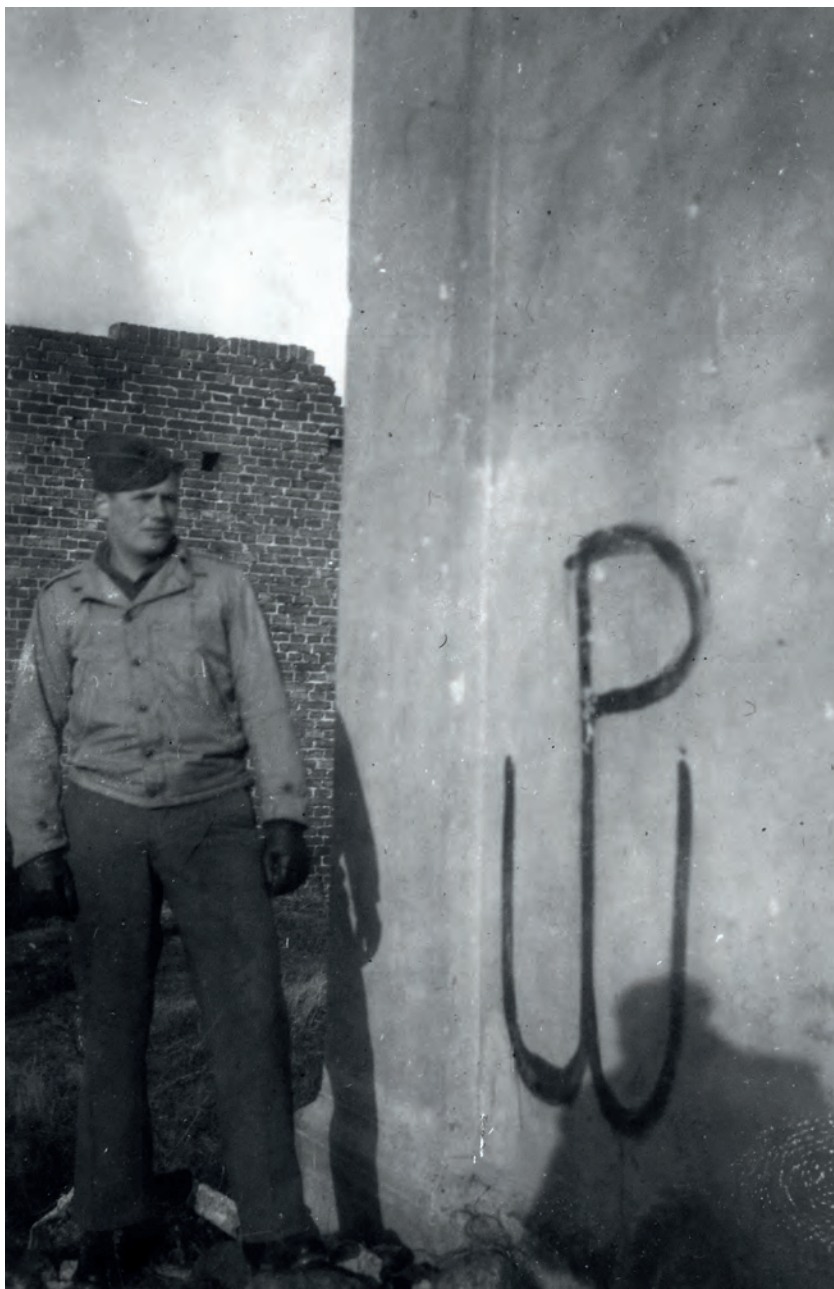
UWAGA:
1. Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest
zapładować się Milicji Obywatelskiej w terminie
do 4 dni od daty wystawienia zaświadczenia
i 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno
być wymienione w miejscu stałego pobytu – na
dokład tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia
w Ligińcu

Wydano d. 19.7 1945 r.
Ważne do dnia 31.7.1945

250 000 – VI. 45. – Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi

Zaświadczenie wystawione przez Państwowy Urząd Repatriacyjny poświadczające
pówrót z obozu koncentracyjnego



Stanisław Zalewski po opuszczeniu armii amerykańskiej. Znak Polski Walczącej wymalowany na budynku przedwojennej Państwowej Komendy Uzupełnień, Warszawa 1945



Autor z synem Hubertem Zalewskim w Miejsu Pamięci Mauthausen, czerwiec 1998



Uroczystość z okazji 65-lecia Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych
Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych,
Cmentarz Wojskowy na Powązkach, październik 2011



Obchody z okazji 70. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz w Państwowym Muzeum
Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, 27 stycznia 2015



Stanisław Zalewski odznaczony medalem *Pro Masovia*, 20 lipca 2015, archiwum
Towarzystwa Przyjaciół Warszawy



Spotkanie z młodzieżą w czasie Dni Pamięci Pawiaka, październik 2015



Obchody Narodowego Dnia Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów
Koncentracyjnych i Obozów Zagłady, 14 czerwca 2016



Stanisław Zalewski przed wejściem do Muzeum Więzienia Pawiak, 14 czerwca 2016



Zdjęcie z przepustki do warszawskiego getta, na terenie którego znajdował się warsztat samochodowy, w którym pracował Stanisław Zalewski, 1942



Fotografia Autora wykonana podczas obchodów Narodowego Dnia Pamięci Ofiar
Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady,
14 czerwca 2016

Fotoskład i łamanie

Mateusz Ryszkowski

Redakcja językowa

Małgorzata Izdebska-Młot

Fotografie

Archiwum Stanisława Zalewskiego, Rafał Krupa, Tadeusz Stani,

Olga Steczkiewicz

Współpraca redakcyjna

Olga Steczkiewicz

Redakcja techniczna

Marzena Milewska

ISBN 978-83-62235-94-0

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości w Warszawie

Realizacja Muzeum Więzienia Pawiak

ul. Dzielna 24/26

00-162 Warszawa

tel. (22) 831-92-89

pawiak@muzeumniepodleglosci.art.pl